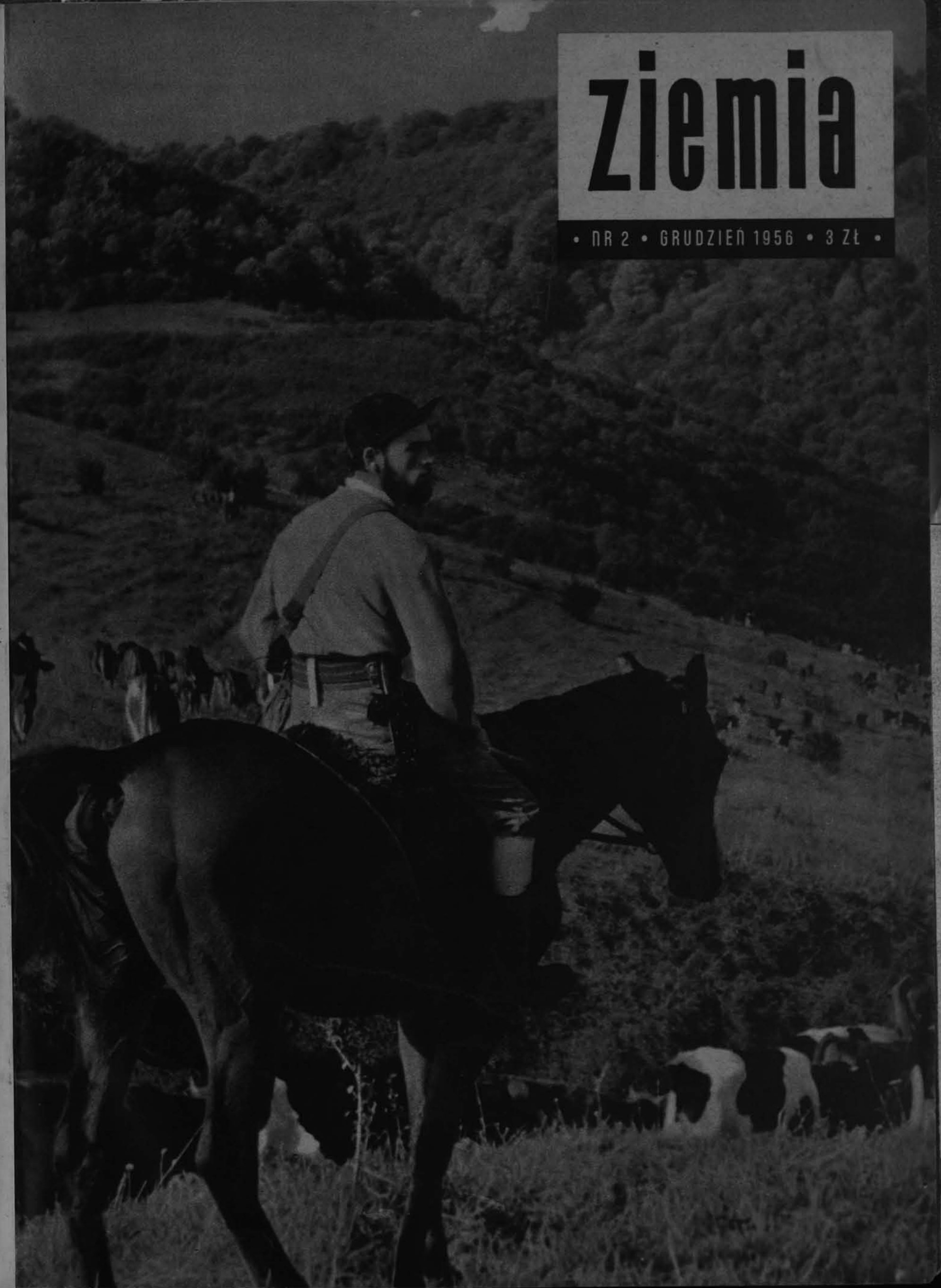


ziemia

• NR 2 • GRUDZIEŃ 1956 • 3 ZŁ •



NASZA OKŁADKA

przedstawia moment, gdy w dolinę Sanu schodzi stado bydła wypasane corocznie w Bieszczadach od wiosny do zimy. Na stronach 16 i 17 zamieszczamy reportaż o pracy tamtejszych pasterzy.



W następnym numerze m. in.:

O zbójnickich skarbach
Nietoperze
„Sieteskie droby”
Architektura miast fabrycznych
Dawne poczty polskie
Nowotarskie historie
Łuk triumfalny

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę „Ziemi” przyjmują urzędy pocztowe i listonosze.

Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których znajdują się oddziały względnie delegatury „Ruchu” — zamawiają prenumeratę w tychże jednostkach „Ruchu”.

Instytucje centralne zamawiające prenumeratę dla podległych im jednostek terenowych w skali krajowej, jak również osoby prenumerujące czasopismo indywidualnie, kierują zamówienia i przedpłaty do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” w Warszawie ul. Srebrna 12, konto PKO I-6-100020.

Cena w prenumeracie:

kwartalnie zł 9.—
półrocznie zł 18.—
rocznie zł 36.—

Termin zgłaszania przedpłat: do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Zlecenie na wysyłkę wydawnictw polskich za granicę przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” — Warszawa, ul. Wilcza 46.

Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej w Warszawie, ul. Srebrna 12.

ZIEMIA — ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYŚLAW BURCHARD, zastępca redaktora naczelnego — JANUSZ GRZYBOWSKI, redaktorzy działów — LESZEK DZIEGIEL i MARIAN KORNECKI, układ graficzny — JANUSZ MILEWICZ. Tymczasowy adres redakcji: pl. Wiosny Ludów 8, Kraków, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład: 18 000 egz. Papier rotograviurowy 70 g. Cena zł 3.—, Zam. nr 826/56. M-7-5770. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Pomost, przy którym drzemie zwykle łódka w oczekiwaniu na chętnych przepłynięcia jeziora, zastawiony był sporymi skrzynkami, kilka osób ładowało do łodzi drabinkę, jakieś sznury i nie dające się rozpoznać z daleka tajemnicze drobiazgi, a na płocie ogradzającym morenę suszyły się cieliste kombinezony.

Było to w ubiegłym roku, w połowie października. Piękna pogoda ścigała jeszcze w Tatry nielicznych turystów. Grupki osób wysypujące się z autobusu przy starym schronisku nad Morskim Okiem jak zwykle kierowały się na morenę¹, by z tego wzniesienia ogarnąć spojrzeniem staw i szczyty w złotej, jesiennej oprawie. I tu od razu budził zaniepokojenie niezwykle jak na Tatry widok. Ten dziwny sprzęt — to sprowadzone niedawno do Polski kostiumy nurkowe nowego typu, a ludzie — to garstka zapaleńców pragnących sprawdzić możliwości zastosowania tego sprzętu w badaniach naukowych².

warstwą delikatnego osadu, który przy gwałtowniejszym ruchu pletw łatwo unosił się w górę macając wodę. Na głębokości 10 m kamienie stanowią już zaledwie około 1/3 powierzchni dna, dalej sterczą tylko miejscami i wreszcie nikną całkowicie w warstwie delikatnego, puszystego osadu. Nie przypomina on zupełnie mułu gromadzącego się na dnie żywnych jezior niżowych, chociaż pochodzenie jego jest podobne: dają mu początek głównie martwe szczątki organizmów żyjących w wodzie i cząstki mineralne, splukiwane z otoczenia. W jeziorach tatrzańskich jednak głodowe warunki życia ograniczają bardzo silnie rozwój roślin i zwierząt, a ich szczątki szybko się rozkładają i mineralizują dzięki dobrze natlenionej wodzie. W jeziorach niżowych natomiast muł zawiera bardzo dużo szczątków organicznych, które ulegają powolnemu gniciu wobec malej na ogół ilości tlenu w wodzie, a zwłaszcza przy dnie.

nia się nurka. Nie znaczy to jednak, by poniżej tej głębokości światło zupełnie już w wodzie zanikło. Nurek stwierdził, że dopiero na 27 metrach głębokości było prawie zupełnie ciemno, tak że musiał zbliżyć twarz do samego dna, by rozpoznać jego szczegóły. Ta nadzwyczajna przezroczystość wody, wywołana bardzo małą ilością zawieszin, jest właściwa wszystkim jeziorom typu alpejskiego. Spróbujcie natomiast spojrzeć w głąb wody w jeziorach mazurskich: silnie rozwinięty plankton³ pozwoli sięgnąć wzrokiem w najlepszym przypadku do kilku zaledwie metrów głębokości.

Do siatki wciąganej na linie do łodzi zbierał nurek kamienie z dna z rozmaitych głębokości. Wraz z kamieniami wydobywał przyczepiające się do nich zwierzęta i rośliny. Dotychczasowe wiadomości o organizmach występujących w jeziorach tatrzańskich są jeszcze bardzo szczupłe i na ogół oparte na dorywczych

NURKOWIE W MORSKIM OKU

Jadwiga Siemińska

Dwuczęściowe, lekkie, elastyczne skafandry, wykonane z piankowej gumy, chronią nurka w znacznym stopniu od zimna, a pletwy przyczepiane do stóp umożliwiają swobodne poruszanie się w wodzie i wykonywanie różnych czynności rękami. Dzięki oszklonej masce okrywającej nos i oczy można wygodnie obserwować otoczenie. Butle umocowane na plecach zawierają sprężone powietrze, które zapewnia nurkowi możliwość oddychania pod wodą; zawartość jednej butli wystarcza na około godzinny pobyt pod powierzchnią. Ciężarki z ołowiu przyczepione do pasa pozwalają nie tylko na opuszczanie się w głąb wody, ale także na swobodne pływanie. Zapięty na ręce powietrzny manometr głębokościowy określa niezawodnie głębokość, na jakiej się nurek znajduje.

Każdy, kto płynął łódką przez Morskie Oko, przypomina sobie, jak wyraźnie widać dno przez kryształowo przezroczystą, szmaragdową wodę. Dno zalegają tutaj kamienie i olbrzymie bloki skalne; płynąc pomiędzy nimi nurek musiał uważać, by nie uszkodzić skafandra na ich ostrych, zupełnie nie obtoczonych krawędziach. W miarę przesuwania się w głąb spostrzegał, że są one pokryte coraz grubszą

lodowatą zimną wodą nie pozwalającą nurkowi przebywać zbyt długo pod powierzchnią: marzła nie osłonięta część twarzy i gołe dłonie. Nieco wody wciskało się do wnętrza kostiumu. Bez skafandra pływanie w Morskim Oku o tej porze roku byłoby prawie niemożliwe. Przecież nawet w czasie upalnego lata tylko nieliczni wytrzymują tutaj dłuższą kąpiel, a co dopiero w jesieni. W większości stawów tatrzańskich ogrzewa się w lecie tylko płytka powierzchniowa warstwa wody, dochodząc nie zawsze do kilkunastu stopni ciepła. Głębiej temperatura gwałtownie spada aż do 4°C. Nie trzeba też zapominać, że z końcem października lub w ciągu listopada Morskie Oko pokrywa się już zwykle lodem, a odmarza dopiero w maju lub w czerwcu. Jest to konsekwencja surowego klimatu tatrzańskiego.

W czasie kolejnych zanurzeń nurek osiągał coraz to większą głębokość, a siedzący w łodzi śledzili jego ruchy. Do głębokości 10 m widzieli wyraźnie zarys ciała posuwającego się nad dnem, przy 15 metrach majaczyła jeszcze jasna plama kostiumu, znikająca, gdy nurek zszedł głębiej. Wtedy już tylko kłęby baniek zużytego powietrza znaczyły srebrzystymi, pionowymi smugami i bulgotaniem kierunek posuwa-

badaniach. Mamy więc nieco wiadomości o rybach i o organizmach występujących w płytkich partiach przybrzeżnych. Znajdzie się także trochę uwag o planktonie, który można wyłowić gęstymi jedwabnymi siatkami, i trochę wiadomości o organizmach (czy ich szczątkach) występujących w delikatnych osadach dennych, bo te dają się łatwo zebrać specjalnymi czerpakami lub przez proste zmaczenie wody. Wyciąganie jednak kamieni napotykało zawsze duże trudności: znaczne głębokości i nadzwyczaj zimna woda nie zachęcały do zanurzania się w niej, a przyrządy spuszczone z łodzi narażone były na zaczepienie się o dno. Nurek zresztą także miewał kłopoty: nieraz usiłował podnieść jakiś interesujący kamień, który w miarę odsłaniania go z otaczającego mułu okazywał się ledwo wystającym olbrzymim blokiem skalnym.

Wyciągnięte kamienie dostarczyły wielu informacji o pionowym rozmieszczeniu organizmów prowadzących osiadły tryb życia. Na niektórych kamieniach np. dały się zauważyć barwne, galaretowate skupienia utworzone przez glony⁴. Ciekawa rzecz, że jeszcze na głębokości 14 m sku-

Ciąg dalszy na str. 4



↑ Trzech krakowskich grotolazów przygotowuje się do nurkowania — przywdziewają ochronne stroje z piankowej gumy

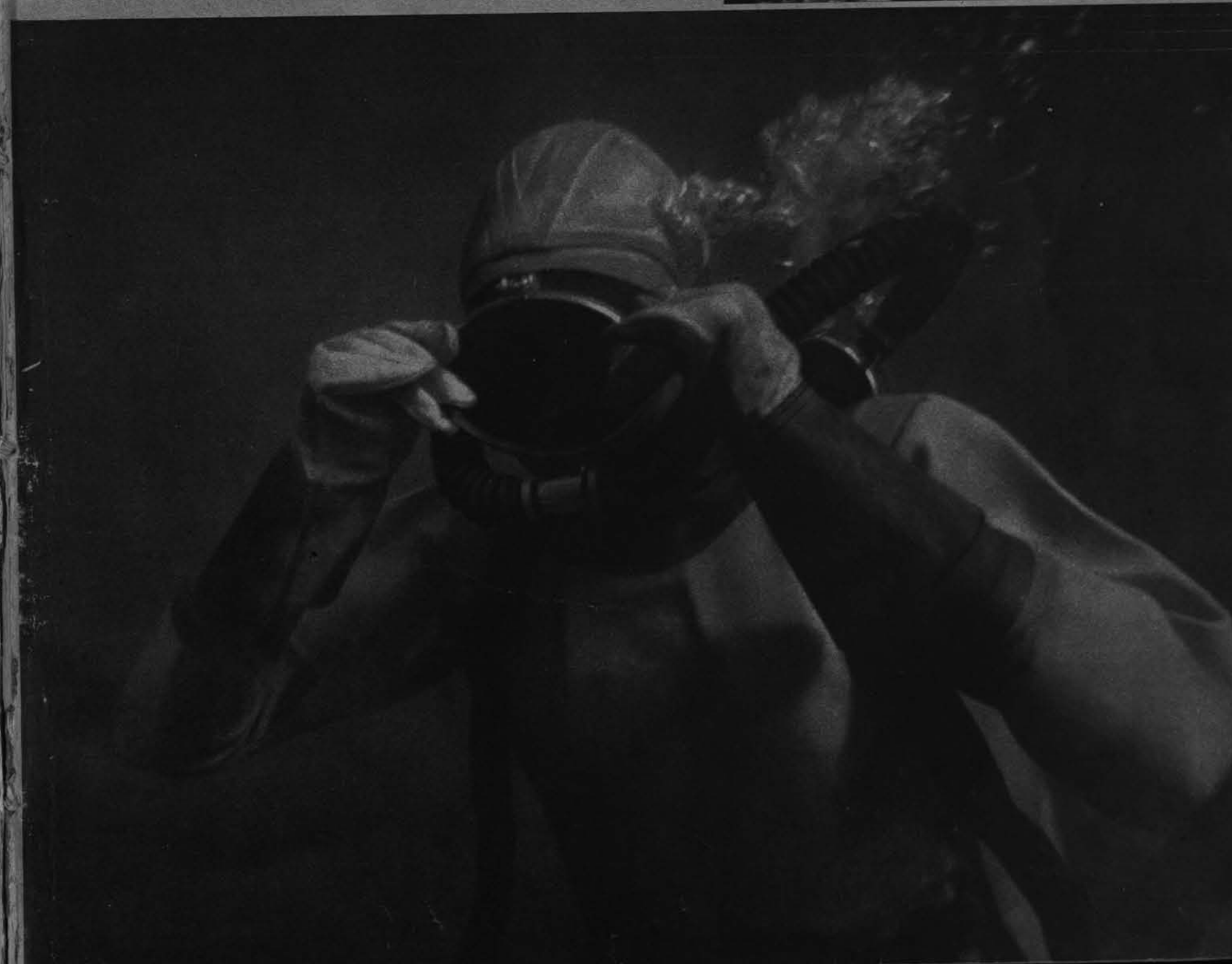
Fot. W. Tomasziewicz

↓ Dzięki masce nurek może dogodnie prowadzić obserwacje dna jeziora i wybierać okazy kamieni

Fot. W. Zubrzycki

→ Nurkowie gotowi do zanurzenia się — na plecach stalowe butle z zapasem powietrza sprężonego do 150 atmosfer

Fot. W. Tomasziewicz



pień te miały barwę szarozieloną, na głębokości 20 m — brunatną, a na 27 m — brunatnoczerwoną. Życie glonów jak i większości roślin związane jest bardzo ściśle z obecnością światła. Gruba warstwa wody niejednako pochłania różne promienie składowe światła słonecznego: woda najsilniej absorbuje promienie czerwone i fioletowe, najgłębiej przepuszcza natomiast promienie żółte i zielone. W związku z tym glony żyjące na różnych głębokościach muszą posiadać rozmaite barwy dopełniające, które ułatwiają pochłanianie promieni najbardziej występujących w danej warstwie wody.

Nie można było jednak pokusić się o dotarcie do najgłębszych miejsc jeziora, opadających do 53,5 m poniżej lustra wody. Wytrawny nurek towarzyszący ekipie osiągnął dno na wspomnianej już głębokości 27 metrów, stwierdzając, że na taką głębokość nie opuścił się dotąd w tym kostiumie nawet w morzu w Sopocie. Inni członkowie ekipy, nurkując w takim ubiorze po raz pierwszy, nie mogli ryzykować opuszczenia się zbyt głęboko. Stwierdzili jednak zgodnie, że łatwość poruszania się w nim w wodzie jest nadzwyczajna i pozwala na swobodną obserwację otaczającej przestrzeni, dostarczając przy tym różnych, niezapomnianych wrażeń. Nowa technika nurkowania zdobyła sobie już w innych krajach licznych zwolenników i znalazła rozmaite zastosowanie, jako wygodna i łatwa do opanowania nie tylko dla nurków zawodowych. Dzięki niej wnętrza mórz, jezior i



↑ Pletwy umożliwiają pływanie pod wodą w dowolnym kierunku

Fot. W. Tomaszewicz

← Dno Morskiego Oka składa się z bloków skalnych i gruzu

Fot. W. Zubrzycki

↓ Od lewej — nurek wydobyl na powierzchnię kamień pokryty algami

Fot. W. Tomaszewicz

↓ Od prawej — praca zakończona, instruktor W. Zubrzycki pomaga nurkowi przy wejściu do łodzi

Fot. J. Siemińska



STAROŻYTNA HUTA ŻELAZA

Już w XVIII wieku Stanisław Staszic zwrócił uwagę na spotykane w Górach Świętokrzyskich masy żelaznego żużlu. Żużel występuje płytko, tuż pod warstwą ziemi ornej. Pełno go między rzeką Kamienną a północnym zboczem Łysogór i Gór Jeleniowskich. A wszędzie, gdzie leży żużel, tam „ziemia jest czarna” i tkwi w niej węgiel drzewny.

To ślady starożytnego hutnictwa. Żużel żelazny jest produktem odpadowym, powstałym przy wytopie żelaza z rudy. Charakter żużlu różny jest w zależności od techniki i warunków, w jakich odbywał się wytop. Z żużlem jest podobnie jak z dawną ceramiką, która pozwala archeologowi określić, z jakiego czasu pochodzi i z jaką się wiąże kulturą. Znajdowany żużel archeolog może najogólniej odnieść do poszczególnych technik metalurgicznych charakterystycznych dla minionych okresów.

Żużel świętokrzyski świadczy o bardzo prymitywnej technice hutniczej. Jest porowaty. Puste miejsca w bryłach żużlu — to odciski wypalonych później węgli drzewnych, a także skutek nieregularnego topienia się rudy i stygnięcia ładunku pieca. Najbardziej może typową jego cechą, charakteryzującą zresztą w ogóle tę prastarą technikę metalurgiczną, jest soplwoatość. Sople na kształt zastygłych nacieków oble-

piają grubo powierzchnię brył żużlu. Ów bowiem znajdujący na polach starodawny żużel występuje najczęściej w kształcie walcowatych kłoców o średnicy około 40 cm, a wysokich na 30 do 40 cm. Dość powszechnie spotyka się kłoc z dolną częścią walcowatą i górną rozszerzającą się w kształcie grzyba. Badania chemiczne wykazały, że te kłocce, czyli — jak je miejscowa ludność zowie — „cebrzyki”, zawierają średnio 50% żelaza. Nic więc dziwnego, że w okresie międzywojennym huty w Starachowicach i Ostrowcu skupowały je do powtórnego przetopu. Dziesiątki ton żużlu utrudniającego orkę świętokrzyskim rolnikom wędrowało wtedy na wozach do hut. Niemniej do dnia dzisiejszego na drogach polnych i miedzach bardzo często spotyka się tu zwały kłoców. Żużel występuje ciągle.

W okresie międzywojennym interesowali się żużlem w Górach Świętokrzyskich prof. Jan Samsonowicz i prof. Mieczysław Radwan. Ten ostatni wysunął już wtedy przypuszczenie, że kłocce żużlu są śladem najstarszej techniki hutniczej na tych ziemiach i że można je odnieść do początków naszej ery. Ale do ostatnich czasów, poza ogromnymi ilościami odpadków żużlowych, nie znaleziono w tym regionie żadnych szczątków dawnych pieców hut-

nicznych, z których przecież ten żużel pochodzi. Wiązano więc tylko owe tajemnicze kłocce z żużlem pieców późnolateńskich, odkrytych w Siedleminie w powiecie jarocińskim, oraz z żużlem dymarek okresu rzymskiego, znalezionych w Igołomi pod Krakowem. Nie można jednak było nic pewnego powiedzieć o chronologii resztek starożytnego hutnictwa świętokrzyskiego.

Latem ubiegłego roku rozpoczęto w Górach Świętokrzyskich systematyczne badania archeologiczne. Podjęły je muzea: Archeologiczne w Krakowie, Świętokrzyskie w Kielcach i krakowscy metalurzy AGH z ramienia Komitetu Historii Nauki PAN. Celem tych zespołowych badań jest szczegółowa rejestracja wszystkich skupisk żużlu, odszukanie dawnych obiektów przemysłowych i związanie tej kolosalnej produkcji żelaza z jej właściwym okresem historycznym.

Już w jesieni 1955 roku uzyskano pierwsze pozytywne wyniki. W Kunowie, w pow. opatowskim, archeolodzy znaleźli 3 ziemne piece hutnicze. Znajdowały się one w profilu oberwanej ściany lessowej. Były to niewielkie, okrągłe jamy wykopane w ziemi, nieco rozszerzające się ku dołowi. Średnica płaskiego dna wynosiła około 30, a wylotu około 28 cm. Ściany tych prymitywnych pieców wylepione były

mieszaniną gliny, plew i drobno pociętej słomy. W dwu odkrytych piecach znajdował się jeszcze stopiony żużel, tak jak go pozostawił po wytopie hutnik. Okazało się więc, że każdy z tych powszechnie znajdowanych kłoców żużlu jest pozostałością po jednym wytopie w piecu ziemnym. Najważniejszym jednak odkryciem była znaleziona w Kunowie obok pieców ceramika, która pozwoliła datować po raz pierwszy świętokrzyskie szczątki metalurgiczne na okres późnolateński, przechodzący we wczesnorzymski, a więc mniej więcej 2000 lat wstecz. To był dopiero początek wielkich odkryć.

Rozpoczęte w kwietniu 1956 roku próbné wykopaliska dały wszędzie zupełnie nieoczekiwane, wręcz sensacyjne wyniki.

Najpierw odkryto dawne składy kłoców żużlu. Było to w Rudkach koło Nowej Słupi. W czterech rzędach obok siebie stało 66 dużych kłoców, tak jak je ustawili po przyniesieniu z pieców dawni hutnicy. Wszystkie były ułożone jednakowo, gładszą, górną powierzchnią ku górze. Stały one w trzech skupiskach. Kłoc jednego ze skupisk odbiegał jakością od pozostałych. Były mniejsze i struktura ich była mniej zwarta. Kłoców było niegdyś więcej. Właściciel pola, na którym odkopano „magazyn”, opowiada, że jego ojciec w okre-

stawów stały się dostępne bezpośredniej obserwacji. Należy więc przypuszczać, że lekkie kostiumy nurkowe zostaną u nas dobrze wykorzystane przy badaniach nie tylko stawów tatrzańskich, ale jezior i morza.

¹ Morskie Oko, tak jak i inne jeziora tatrzańskie, wypełnia zagłębienie powstałe na skutek działalności lodowców. Kocioł Morskiego Oka zatarasowany jest dawną moreną czołową lodowca, tj. gruzem skalnym niesionym przez lodowiec i usypywanym w formie wału u jego czoła. Lodowiec tworzy także moreny boczne i dennne.

² W skład ekipy wchodził pracownik Instytutu Budownictwa Wodnego PAN, Instytutu Botaniki PAN oraz członkowie Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego PITK.

³ Plankton są to rośliny i zwierzęta mikroskopijnej wielkości unoszące się swobodnie w wodzie.

⁴ Glony są to jedno- lub wielokomórkowe rośliny niższe, przystosowane do życia w wodzie.

Ekspedycja archeologiczna odsłania zgrupowanie starożytnych pieców hutniczych



sie międzywojennym odwiózł do hut około 50 ton takiego żużlu, a jeden kloc waży przeciętnie 100 kg. Już sama ilość kłoców żużlu, z których przecież każdy jest pozostałością jednego wytopu, rzuca ciekawe światło na niezwykle rozmiary tej produkcji

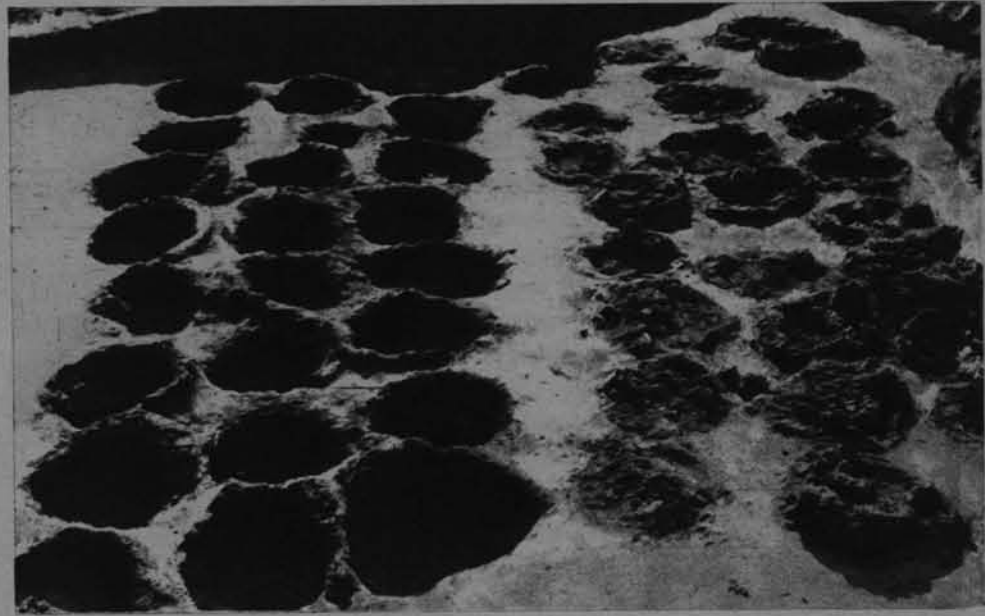
Wśród lasów, na przełęczy między Górą Jeleniowską a Szczytnikiem, odkryto 13 pieców — pierwszy wielki zespół na tym terenie. Dalsze znaleziono o 3 km na północ, w Starej Słupi. Spod warstw ziemi ornej ukazało się 55 pieców. Jest to tylko

Poza układem pieców drugą nie rozwiązana dotychczas przez technologów zagadkę stanowi sama ich budowa. Dotychczas panował powszechny pogląd, że na dnie dawnego wkopanego w ziemię pieca hutniczego gromadziła się łupka wytopionego żelaza,

Znajdowana wśród pieców ceramika pozwala wszędzie datować ten ośrodek hutniczy na przełom naszej ery lub okres wczesnorzymski, a więc ten sam okres, w którym działały wielkie garnalnie odkryte w Igołomi pod Krakowem. Świętokrzy-



↑ Starożytny „magazyn” kłoców żużlu



↑ Z prawej — piece z zawartością, z lewej — już rozkopane

hutniczej. Celowe i staranne zmagazynowanie kłoców, uważanych dotychczas wyłącznie za produkt odpadkowy, zmusza do innego nieco spojrzenia na to zagadnienie. Podobnie jak w Kunowie, tak i tu znaleziono wśród kłoców resztki ceramiki wczesnorzymskiego okresu.

Przed prowadzącymi tu akcję wykopaliskową archeologami stało obecnie zadanie odnalezienia w pobliżu „magazynu” pieców hutniczych i osady dawnych hutników. Czy piece znajdowały się na terenie samej osady, czy też wybudowano je oddzielnie?

Frapujące odkrycie w Rudkach powiększyły niezwykle wyniki wykopalisk w rejonie Gór Jeleniowskich i Starej Słupi.

część piecowiska, gdyż reszty jego, ginącej w ścianie wykopu, nie odkopywano. Już sam ich układ stanowi zagadkę. Hutnicy zbudowali tu swe piece w dwu równoległych rzędach, po trzy obok siebie. Między oboma rzędami biegnie szersza przestrzeń. Być może, jest to ślad po dawnej ścieżce.

W tejże samej Starej Słupi, za ledwie w odległości około 150 m od poprzedniego piecowiska, łopaty odsłoniły 112 pieców, a o 100 metrów dalej następnych 149! I tu również układ pieców był bardzo regularny, choć nieco różny od poprzedniego. Zastosowano tu w zasadzie układ pieców nie trójkowy, lecz czwórkowy.

którą hutnik wydobywał po wytopie. Uchodziło również za pewnik, że w dolnej części tych pieców znajdowały się jakieś urządzenia doprowadzające do wnętrza powietrze z miechów lub naturalnego podmuchu wiatru. Tymczasem w żadnym z odkrytych pieców nie stwierdzono nawet śladu tego rodzaju urządzeń. Nie odkryto również nigdzie na ich dnie owej łupki wytopionego żelaza, jakkolwiek kłoc żużlu tkwiący w wielu piecach świadczyły, iż po skończeniu wytopu hutnicy ich nie opróżnili. Wszędzie na dnie w takich wypadkach znaleziono tylko warstwę węgla drzewnego. I tu więc uczeni stanęli wobec zagadki.

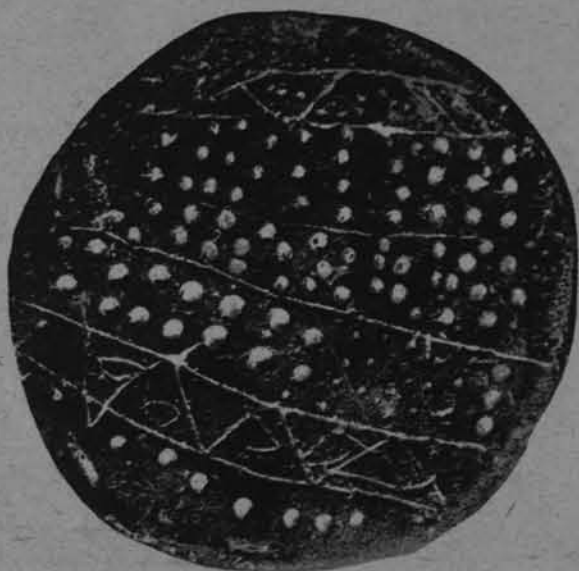
skie piece hutnicze stanowiły niewątpliwie jakiś zwarty, zorganizowany zespół metalurgiczny. Produkcja tej potężnej — jak na owe czasy i warunki — huty musiała być ogromna. Tak wielkiej huty z tej epoki nie znaleźli archeolodzy nigdzie. Dla kogo wytapiały rudę owe setki pieców w Górach Świętokrzyskich? Rozmiary huty pozwalają przypuszczać, że produkty jej mogły wówczas wystarczyć dla całej Europy.

Okazuje się, że pierwotne hutnictwo było o wiele bardziej skomplikowanym zagadnieniem, niż to dotychczas powszechnie sądzono.

Kazimierz Bielenin

ZAGADKOWE ZNAKI

Stanisław Buratyński



Przedstawione na zdjęciu dno glinianego naczynia jest od spodu podzielone sześcioma liniami na siedem pasów (lub poziomów), w których są rozmieszczone zagadkowe znaki — punkty i trójkąty. Jest to typowe naczynko z okresu wczesnorzymskiego (od 0—200 n.e.). Wyodrębnione dno ma kolor czarny, powierzchnię wygładzoną i błyszczącą. Podobne naczynia na terenie naszych ziem występują często, nigdy jednak dotychczas nie znaleziono naczyń z podobnymi znakami.

W związku z budową Nowej Huty pod Krakowem, od roku 1950 prowadzi się na tych terenach prace archeologiczne o charakterze ratowniczym. Odkryto tu dotychczas 35 stanowisk archeologicznych z różnych epok i kultur, a z nich wydobyto ogromne ilości zabytków, w tym wiele bardzo rzadkich, a część — nieznanych dotychczas w ogóle. Do tych ostatnich należy właśnie owa dolna część gli-

nianego naczynka z zagadkowymi znakami na dnie. Znaleziono ją na stanowisku Wyciąże II. Być może, znaki te mają jakieś znaczenie magiczne lub jest to rodzaj nieznanego pisma. W każdym razie nie stanowią one ornamentu, dno bowiem naczynia pozostawało dla użytkownika niewidoczne.

Znamy z terenów Polski szereg rozmaitych znaków, które występują jednak tylko na bocznych ściankach naczyń. Ich znaczenie nie jest również wyjaśnione. Różnią się one jednak najzupełniej od znaków na dnie omawianego naczynia. Inny także charakter mają znaki runiczne znane z terenu naszych ziem oraz znaki na naczyniach celtyckich, znanych z niektórych stanowisk archeologicznych w Europie. Znaki na naczyniach wykonywano w Grecji, Rzymie i Etrurii. Może więc i nasze zagadkowe znaki powstały pod wpływem południa?

BITWA POD OLIWĄ

Tadeusz Polak

W latach dwudziestych XVII wieku Szwedzi zaczęli coraz bardziej zagrażać bezpośrednio Polsce, która prawie od 1600 roku, z małymi przerwami, toczyła z nimi walki. Wyrosłe pod rządami Gustawa Adolfa na pierwszorzędną potęgę, państwo szwedzkie odepchnęło od Bałtyku Rosję oraz podbiło Inflanty, znajdujące się uprzednio w posiadaniu Rzeczypospolitej.

Gustaw Adolf obwieścił dumnie

wszem wobec, że Bałtyk jest morzem szwedzkim. Aby tak było w rzeczywistości, należało jeszcze tylko opanować południowe wybrzeża Bałtyku, należące do Polski. W tym celu 6 lipca 1626 roku 15 tysięcy doborowego żołnierza szwedzkiego na 140 transportowcach, chronionych przez 80 okrętów wojennych, przybiło do portu w Pilawie w Prusach Książęcych.

Armia szwedzka posuwając się z ko-

lei na zachód wzdłuż wybrzeża rozbiła po drodze słabe oddziały polskie, zatrzymując się dopiero przed potężnie ufortyfikowanym Gdańskiem. Szwedzi zdołali jednak opanować Puck i Hel. Słaba armia polska na Pomorzu została pobita i odrzucona na południe. Sytuacja zmieniła się dopiero w roku 1627, kiedy obronę powierzono hetmanowi Koniecpolskiemu, który przybył na Pomorze w listopadzie 1626 ro-

ku z 4 tys. doborowego żołnierza. W kilka miesięcy armia szwedzka została zaryglowana w delcie Wisły i nie o podboju, ale o własnej obronie przyszło jej myśleć.

Do sukcesów armii lądowej pod Puckiem, a następnie pod Czarnem przyczyniła się niemal młoda polska flota wojenna, która szarpnęła flotę szwedzką, a w końcu stoczyła z nią zwycięską bitwę pod Oliwą 28 listopada 1627 roku.

* * *

Jest wczesny ranek 28 listopada 1627 roku. W Zatoce Gdańskiej stoją zakotwiczone okręty wojenne. Wiatr południowo-wschodni świszcze po masztach potężnych galeon spowitych gęstą mgłą morską. Cielska okrętów kołyszą się lekko z boku na bok. Zdawać by się mogło, że załogi ich śpią spokojnie. Tymczasem na pokładach przez całą noc panował ożywiony ruch. Rozkaz głównodowodzącego flotą polską admirała Dickmana postawił załogi od kilku dni w stan gotowości bojowej. Wszystko jest w pełni przygotowane do walki. Żagle i liny dokładnie sprawdzone. Przy działach pokładowych obsługa w duże skrzynie poukładała odliczone kule. Na górnych pokładach wzmocnione wachty wpatrzono w mroczną dal wypatrując nieprzyjaciela. Muszkiety, berdysze, szable i topory wyczyszczone błyszczą w rękach marynarzy, którzy się z nimi nie rozstają ani na chwilę.

Wśród pochodzących z nadbrzeżnych wsi kaszubskich starych wilków morskich, którym latami słońce i wiatry morskie smagały twarze i którzy już nie jeden raz wachali proch, zaczyna panować nastrój zniecierpliwienia. Chcieliby jak najprędzej znaleźć się znów w walce. Obok tych starych wygów, wielu młodych żółtodziobów, byłych czeladników, terminatorów, ładowaczy, woźniców, którzy pouciekali od swych majstrów czy przedsiębiorców. Pochodzą oni z pomorskich miast: Gdańska, Elbląga czy Torunia.

Nie brakło wśród marynarskiej wiary również młodych chłopów pańszczyźnianych z Kujaw, Sandomierszczyzny czy Lubelszczyzny, którzy niedawno jeszcze Wiśłą do Gdańska spławiali pańską pszenicę. Gdy jednak ogłoszono w Gdańsku zaciąg do nowobudu-



↑ Bitwa pod Oliwą wg współczesnej ryciny

jącej się floty królewskiej, porzucili w porcie szkuty z pszenicą i ochoczo zaciągnęli się do służby na wojennych okrętach królewskich. Gdy udało im się stopą dotknąć pokładu galeony, pinki czy innego okrętu, mogli się już śmiać z bezsilnej wściekłości swych panów i dziedziców. Okręty marynarki królewskiej to bo-

daj jedno z niewielu miejsc w Rzeczypospolitej, dokąd nie sięga władza magnatów i szlachty.

Wśród tych młodych zuchów nie było ani jednego, który by w ciągu toczącej się wojny ze Szwedami nie brał udziału w walkach. Teraz ze swymi starszymi kolegami czekali tylko rozkazu. Rozkaz jednak nie nadcho-

dził. Nastrój gotowości bojowej i wyczekiwania, trwający kilka dni, miał się jednak rychło zakończyć.

Wracająca o świcie 28 listopada z nocnego patrolu w Zatoce Gdańskiej najszybsza galeona polska „Król Dawid” zameldowała admirałowi Dickmanowi, że flota szwedzka w szyku torowym (tj. jeden za drugim) płynie w kierunku zachodnich wybrzeży Zatoki Gdańskiej, aby najprawdopodobniej dokonać desantu na brzeg.

Wystrzał armatni z admirałskiego okrętu „Święty Jerzy” poderwał na nogi całą i tak czuwającą zresztą załogę. Radosny krzyk marynarzy był odpowiedzią, że wszyscy są gotowi do walki. W jednej chwili podniosły się wszystkie żagle. Na masztach załopotaly wciągnięte pośpiesznie bandery. Naprężyły się liny ciągnionych na pokład kotwic. Polska eskadra morska, składająca się z 10 jednostek bojowych i około 2000 marynarzy, wyruszyła na spotkanie nieprzyjaciela.

Rozpoczęła się bitwa pod Oliwą.

Na czele eskadry płynął „Król Dawid”, a za nim w przepiślowej odległości admirałski „Święty Jerzy”, na którego wysokim mostku kapitańskim stał spokojnie admirał Dickman. W dalszej kolejności w szyku torowym płynęły pozostałe okręty: „Pędzący Jeleń”, „Panna Wodna”, „Wodnik”, „Arka Noego”, „Syrena”, „Tygrys”, „Biały Pies” i „Delfin”.

Okręty w wyznaczonej sygnalizacją odległości szybko pręły grzbiety fal. Wiejący od strony ładu południowo-wschodni wiatr ułatwiał posuwanie się eskadry polskiej pędzącej w kierunku Helu, wprost na nieprzyjaciela.

Na widok zbliżającej się pol-

↓ Polska piechota morska z XVIII w. wg modelu wykonanego przez Mieczysława Boczarę w Krakowie





Okręt „Wodnik” z czasów bitwy pod Oliwą wg modelu wykonanego przez Mieczysława Boczarę w Krakowie

skiej eskadry, szwedzki okręt admirański „Tiger” wysunął się na czoło eskadry zwiększając szybkość. Okręty polskie, znajdujące się w niewielkiej odległości od nieprzyjaciela, błyskawicznie zmieniły szyk torowy ustawiając się w szyku czołowym (jeden obok drugiego), gotowe do podjęcia walki.

Szwedzki okręt admirański, zataczając ostry łuk, pierwszy zaatakował polską eskadrę. Okręty szwedzkie manewrujące pod wiatr nie od razu mogły się rozwinąć w szyk czołowy. Wykorzystała to eskadra polska, która wykonała wspaniały manewr i dała pierwszą ognia ze swych dział. „Święty Jerzy”, który podpłynął ku szwedzkiemu okrętowi admirańskiemu, bluznął na niego ulewą żelaza ze swych 4 dział ustawionych na dziobie. Natychmiast odpowiedziała szwedzka artyleria trafiając w polski okręt admirański, nie wyrządziła mu jednak poważniejszych szkód. „Święty Jerzy” błyskawicznym manewrem zmienił położenie, odciął „Tigra” od reszty szwedzkich okrętów i drugą salwą z tylnej burty poprawił pierwszy strzał. W kilka minut zbliżył się do burty „Tigra”. Admirał Dickman

dał rozkaz zarzucenia pomostu na okręt nieprzyjacielski. Zgrzytnęły pomosty i dwa olbrzymie cieliska okrętów zwały się w potężnym uścisku. Piechota morską wdarła się na pokład szwedzkiego statku. Poszły w ruch berdyśsze, topory i szable.

Szwedzi nie byli jednak łatwym przeciwnikiem. W kilkakrotnym kontrataku zwierali się wręcz z polskimi marynarzami starając się ich za wszelką cenę zepchnąć z pokładu. Nie udało im się to jednak. Admirał szwedzki, śmiertelnie ranny przez atakujących Polaków, padł rozkrzyżowany na deski pokładu. Zdołał jednak, mimo ran poniesionych, dać rozkaz swej załodze, aby wysadziła „Tigra” w powietrze, licząc na to, że wraz z nim wyleci szczipiony polski okręt. Stary wilk morski, admirał Dickman, nie dał się jednak zaskoczyć. Już wcześniej wydał rozkaz wdarcia się do komory z prochem i udaremnienia ewentualnego wysadzenia okrętu.

Zacięty pojedynek z załogą „Tigra” przedłużał się coraz bardziej. Szwedzi bronili się jak lwy. Na pomoc więc „Świętemu Jerzemu” pośpieszył „Pędzący Jeleń” i „Panna Wodna”. Teraz

los „Tigra” został przesądzony. Marynarze polscy opanowali jego pokład. Po głównym maszcie piał się szybko w górę młody polski marynarz. Zdarł szwedzką banderę, a na jej miejscu załopotała bandera polska — czerwona chorągiew ze zgiętym ramieniem białej ręki zbrojnej w miecz.

Na nic się nie zdała pomoc „Tigrowi”, idąca od strony innego szwedzkiego okrętu, „Pelikana”. Celna salwa z dział „Świętego Jerzego” zmusiła „Pelikana” do opuszczenia pola walki. Z kolei pośpieszył z pomocą największy szwedzki okręt „Solen” (słońce), ale i ten nie miał szczęścia w walce. Dopadł go polski okręt „Wodnik” i błyskawicznie zarzucił haki pomostu. Rozgorzała na „Solenie” zacięta walka wręcz. Trzy razy marynarze polscy wdzierali się na pokład „Solena” zadając Szwedom ciężkie straty. Szwedzi widząc że nie zdołają powstrzymać napierających Polaków, postanowili swój okręt wysadzić w powietrze i zniszczyć równocześnie polski. W ostatniej chwili udało się „Wodnikowi” odbić od szwedzkiego okrętu. W parę sekund później potężny wybuch wstrząsnął powietrzem, „Solen” poszedł na

dno. Mówiono później na polskich okrętach że „słońce zaszło w południe”.

Widząc klęskę swych największych jednostek dowódcy pozostałych okrętów szwedzkich dali rozkaz odwrotu. Po dwugodzinnej zaciętej bitwie Szwedzi skapitulowali uchodząc w popłochu z pola walki.

Zwycięstwo polskiej marynarki było wspaniałe. Oplacone zostało wprawdzie śmiercią dzielnego dowódcy admirała Dickmana i kilkudziesięciu marynarzy, ale nie licząc zatopionego „Solena”, Polacy zdobyli nieprzyjacielski okręt admirański wraz z całym uzbrojeniem, zabrali sporą ilość jeńców, reszta zaś poległa w walce. Dzięki zwycięskiej bitwie pod Oliwą, Zatoka Gdańska została uwolniona od szwedzkiej blokady. Jakkolwiek dowództwo szwedzkie wysłało na wody Bałtyku nową eskadrę, to ta jednak nie odważyła się wpłynąć do Zatoki Gdańskiej.

Zwycięstwo pod Oliwą odbiło się szerokim echem nie tylko w kraju, ale w całej Europie, głosząc triumf młodej polskiej marynarki wojennej.

Tadeusz Polak

Słownik geograficzny

Witold Zembrzusi

Do słownika geograficznego zaglą-
dają codziennie tysiące pracowników
nauki, administracji, gospodarki naro-
dowej, kultury oraz szerokie rzesze czy-
telników bibliotek. Powinien by on
znajdować się w każdej placówce nau-
kowej, w każdym ważniejszym biurze
i urzędzie, w każdej bibliotece i szkole
średniej. Warto więc przypomnieć, w
jakich okolicznościach powstał nasz
*Słownik geograficzny Królestwa Pol-
skiego i innych krajów słowiańskich*.

Po Powstaniu Listopadowym zamknię-
to uniwersytet warszawski. Warszawa
została bez wyższej uczelni. Dopiero
Wielopolski wyjednał ponowne otwar-
cie w 1862 r. wyższej uczelni pod na-
zwą Szkoły Głównej, której rektorem
został Józef Mianowski. Krótki był ży-
wot Szkoły, zamkniętej wnet po
Powstaniu Styczniowym w 1869 r., ale
dzięki świetnemu doborowi profesor-
skiemu i duchowi, jaki w niej panował,
uczelnia zdążyła wydać szereg wybit-
nych jednostek, które w okresie popo-
wstaniowym, w czasach najgorszej
reakcji carskiej nie tylko podtrzymy-
wały ducha w narodzie, ale w najtrud-
niejszych warunkach potrafiły pracować
naukowo, dokładając cegiełkę
nauki polskiej do światowego gmachu
wiedzy. Do takich właśnie wielkich
dzieł ducha i myśli polskiej zaliczyć
należy *Słownik geograficzny Króle-
stwa Polskiego i innych krajów sło-
wiańskich*, wydany pod redakcją Fi-
lipa Sulimierskiego, Bronisława Chle-
bowskiego i Władysława Walewskiego
w latach 1880—1904.

Kto to byli twórcy tego wielkiego
dzieła i jak doszło do jego realizacji?

Pierwszą myśl wydania Słownika
geograficznego rzucił F. Sulimierski,
redaktor „Wędrowca”, tygodnika po-
święconego geografii oraz podróżom.
Na początku 1878 r. ogłosił on na ła-
mach „Wędrowca” odezwę o koniecz-
ności wydania dzieła poświęconego zna-
jomości ziemi ojczystej i krajów przy-

ległych, pod nazwą Słownika geogra-
ficzno-statystycznego. Prosił czytelników
o współpracę redakcyjną i pomoc
finansową. Liczne wyrazy uznania oraz
życzenia poszerzenia tego wydawnic-
twa skłoniły red. Sulimierskiego do po-
większenia pierwotnego planu i opra-
cowania wydawnictwa obejmującego
całością zagadnień geograficznych
ziem dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.
Początkowo Słownik miał być w dwu
tomach, następnie — w pięciu, a skoń-
czyło się na szesnastu tomach.

W odpowiedzi na odezwę, przedru-
kowaną przez większość prasy polskiej,
Władysław Walewski, ziemianin, kan-
dydat nauk dyplomatycznych uniwersy-
tetu dorpackiego, ofiarował pomoc fi-
nansową, współpracę zaś obiecało prze-
szło 130 innych osób z całej Polski.

W dniu 1 marca 1879 ukazała się
odezwa podpisana przez Sulimier-
skiego już jako „głównego redaktora”
oraz przez współredaktorów Walewskie-
go i Chlebowskiego, magistra nauk fi-
lozoficzno-historycznych b. Szkoły Główn-
nej.

Zapowiedziano na 1 stycznia 1880 r.
wyjście pierwszego miesięcznego zeszy-
tu Słownika. To zobowiązanie redakcji,
gdy nie miała jeszcze nic prawie w te-
cie redakcyjnej, wydawało się wprost
niewykonalnym mierzniem „sił na za-
miary”, tym bardziej że nie było wów-
czas w tym zakresie fachowców. Na
przeszkodzie stawał również rząd car-
ski, gnębiący wszelkie przejawy du-
cha polskiego. Jednak osobistymi sta-
raniami i rozmaitymi wpływami oraz
brzęczącymi argumentami zdołano prze-
łamać przeszkody, piętrzone przez car-
skich czynowników. Dalszą wielką trud-
nością było przygotowanie techniczne
drukarni do tak obszernego i trudnego
wydawnictwa, najważniejszą zaś rzeczą
było opracowanie materiału do pierw-
szych zeszytów Słownika. Wszystko to
jednak zostało pokonane. Red. Chle-
bowski zajął się głównie opracowaniem

danych dotyczących się Królestwa Pol-
skiego, red. Sulimierski zaś wziął na
siebie opracowanie pozostałych działów
oraz redakcję całości. W oznaczonym
terminie, 1 stycznia 1880 r., wyszedł
rzeczywiście pierwszy pięcioarkuszowy
zeszyt Słownika i odąd do końca wy-
dawnictwo ukazywało się z wzorową
punktualnością. W owych tak ciężkich
czasach, gdy Polska była pocięta kor-
donami zaborczymi, znalazło się prze-
szło 2 tysiące prenumeratorów, co ze
względu na charakter naukowy wy-
dawnictwa było liczbą bardzo dużą.
Początkowy nakład Słownika wynosił
3000 egzemplarzy, później od VII tomu
zmalał do 2000.

Każdy z zaborów żył w zupełnie róż-
nych warunkach politycznych, admini-
stracyjnych, gospodarczych itp. Redak-
cja Słownika w tych warunkach by-
ła pracą ponad ludzkie siły, toteż red.
Sulimierski pada pod jej ciężarem jak
żołnierz na posterunku. Nadmiar prac
i obowiązków, jakie wziął na swe barki,
wyczerpał siły młodego organizmu
i spowodował nagły, przedwczesny
zgon. Red. F. Sulimierski umiera w
chwili rozpoczęcia druku VI tomu
Słownika, na początku 1885 r.

Redakcję po nim objął Br. Chlebow-
ski, powołując na współredaktora Jó-
zefa Krzywickiego, również wychowanka
Szkoły Głównej. W 1890 r. śmierć
zabiera Wł. Walewskiego, który nie
doczekał się także ukończenia druku
swego dzieła. Umierając, Walewski
przekazuje testamentem całość wydaw-
nictwa Kasie Pomocy Naukowej im.
J. Mianowskiego — placówce nauko-
wej, która stała się pomnikiem
rektora Szkoły Głównej. Począwszy od
XI tomu wydawanie Słownika finanso-
wane jest z zasłuki Kasy. Z licznych
grona pierwszych współpracowników do
końca druku dotrwało tylko 7. Ogół-
em, w pracach nad Słownikiem brało
udział około 700 osób, w większości
bezzinteresownie. W czerwcu 1897 r.
ukazał się ostatni tom, czternasty. Po
Encyklopedii Orgelbranda było to naj-
większe pod względem objętości wy-
dawnictwo (cała praca obejmuje 15 000
stron). Koszt jego wyniósł 110 000 ru-
bli, sumę na owe czasy bardzo dużą,
która została całkowicie pokryta prenu-

meratą i sprzedażą kompletów. Okazało
się jednak konieczne, uzupełnienie
Słownika, toteż wydano jeszcze dwa
tomy suplementu w lutym 1904 r. pod
red. Br. Chlebowskiego i J. Krzywic-
kiego.

Poza doniosłością naukową Słownik
miał olbrzymie znaczenie polityczne.
Kiedy trzej zaborcy wykreślili z ma-
py Europy imię Polski — Słownik geo-
graficzny stwierdzał, że pozbawiona
bytu państwowego Polska żyje nadal.
Niemniej zaprzeczyć się nie da, że Sło-
wnik obciąża dużo niedociągnięć, wy-
nikających z warunków, w jakich był
wydawany. Redagowany w Warszawie,
nie mógł potraktować należycie pozos-
tałych zaborów, a szczególnie prus-
kiego; brakło tam odpowiednich sił,
dostępne zaś materiały urzędowe z za-
boru pruskiego były przejęte na ogół
wybitnie tendencyjnym duchem
hakatystycznym, co oczywiście odbie-
rało im wartość źródła naukowego.

Poza tym może zbyt mało — przy-
najmniej na dzisiejsze nasze potrze-
by — uwzględniono w Słowniku za-
gadnienia z zakresu kultury, nauk spo-
łecznych itd. Słownik powstał z górą
75 lat temu, a od tego czasu nauka po-
szła naprzód siedmiomilowymi kroka-
mi, zmieniły się również całkowicie
warunki polityczne, administracyjne,
społeczne i narodowościowe. Ziemie Za-
chodnie w Słowniku są uwzględnione
w nazbyt szczupłym zakresie. Nie ma
też w nim ilustracji, planów i map.
Toteż obecnie konieczne stało się opra-
cowanie nowego polskiego słownika
geograficznego, który by obejmował
Polskę i kraje sąsiednie.

Jeśli w ciągu kilkunastu lat kilku
ludzi rozporządzających bardzo ograni-
czonymi środkami materialnymi zdołało
opracować i wydać takie dzieło jak
*Słownik geograficzny Królestwa Pol-
skiego i innych krajów słowiańskich*,
to tym bardziej obecnie, mając pod-
stawę w dawnym Słowniku, o ileż łat-
wiej opracować nowy, gdy możemy
mieć do dyspozycji tysiączne zastępy
pracowników naukowych ze wszystkich
dziedzin, obszerne materiały, olbrzymią
literaturę i środki finansowe.

A praca to pilna i niezbędna.

Słownik geografii turystycznej

Maria Irena Mileska

W maju 1951 roku z inicjatywy Biu-
ra Turystyki Ministerstwa Komunikacji
zostało podjęte opracowanie *Słownika
geografii turystycznej Polski*. Zbiera-
nie materiałów i redakcyjne opracowa-
nie hasel trwało przeszło dwa lata.
Pierwszą część maszynopisu oddano do
produkcji w 1953 r. Hasła od litery A
do H zostały wydrukowane w ciągu
1954 r. i leżą na składzie. Z przyczyn
niezależnych od redakcji produkcja
Słownika została wstrzymana, dopiero
w końcu października 1956 r. redakcja
otrzymała skład litery M. Należy się
spodziewać, że do końca bieżącego roku
zostanie opublikowany tom pierwszy od
litery A do N włącznie. Drugi tom
Słownika od litery O do Z jest przy-

gotowywany do druku, przy czym uzu-
pełnia się już tylko hasła od litery T,
poprzednie są ukończone.

Ze względu na zwłokę w produkcji
informacyjny materiał Słownika, do-
tyczący aktualnego życia gospodarczego
i podziału administracyjnego, stracił w
pewnej mierze aktualność, jest doku-
mentacją z 1952 r. Niektóre zmiany po
1953 r. zostały tylko fragmentarycznie
wprowadzone podczas korekty.

Na treść Słownika składają się dwa
typy hasel: jeden — to opisy wybra-
nych (około 3500) miejscowości, dru-
gi — opisy regionów geograficznych i
ich części. Ponadto w Słowniku znaj-
dują się opisy rzek, jezior, dużych kom-
pleksów lasów, parków narodowych i

rezerwatów. Opisy miejscowości zawie-
rają: charakter prawny osiedla, przy-
nałęczność administracyjną, informację
co do typu osiedla i jego funkcji go-
spodarczej, położenie geograficzne i to-
pograficzne, cechy krajobrazu najbliż-
szej okolicy, pobliskie tereny wypo-
czynku, możliwości dojazdu, przy du-
żych miastach powiązanie komunikacyj-
ne z zapleczem i innymi miastami Pol-
ski, informacje historyczne, tradycje i
zabytki historyczne, udział mieszkań-
ców w walkach narodowo-wyzwoleń-
czych i społecznych, główne instytucje
oświatowe i kulturalne, zabytki archi-
tektury, sztuki i innych działów kul-
tury narodowej, zabytki przyrody. In-
formacje pożyteczne dla ruchu tury-
stycznego zostały szczególnie podkre-
ślone i obejmują: ważniejsze hotele,
schroniska, stacje kajakowe, trasy wy-
cieczek w okolicy z podaniem orien-
tacyjnych wskazówek odległości i kie-
runków. Ze względu na ogromną roz-
piętość tematów — informacje nie są
kompletne. Niektóre zjawiska życia
współczesnego zostały silnie uwypuklo-

ne, inne — pominięte. Redakcja zdaje
sobie sprawę, że pewne interpretacje
polityczno-społeczne zostały w wielu
wypadkach zbyt uproszczone i że w
nowym wydaniu winny ulec rewizji.

Słownik będzie miał około 80 arku-
szy, ukończenie druku, to znaczy wy-
danie drugiego tomu przewiduje się w
1957 r. W opracowaniu Słownika bra-
ło udział około 50 autorów, głównie
czynni krajoznawcy-turyści, geografo-
wie oraz przedstawiciele innych gałęzi
wiedzy. Nad całością pracy czuwał ko-
mitet redakcyjny, powołany przez Ko-
mitet do Spraw Turystyki.

W związku z przygotowanym obec-
nie do druku *Słownikiem geografii
turystycznej Polski*, zamieszczamy no-
tatkę informacyjną, nadesłaną nam
przez p. Marię Irenę Mileską, przewod-
niczącą komitetu redakcyjnego Sło-
wnika.

Zapoznawszy się z założeniami tego
wydawnictwa sądzimy, że może ono
okazać się interesujące i pożyteczne,
jakkolwiek nie zastąpi Słownika geo-
graficznego.

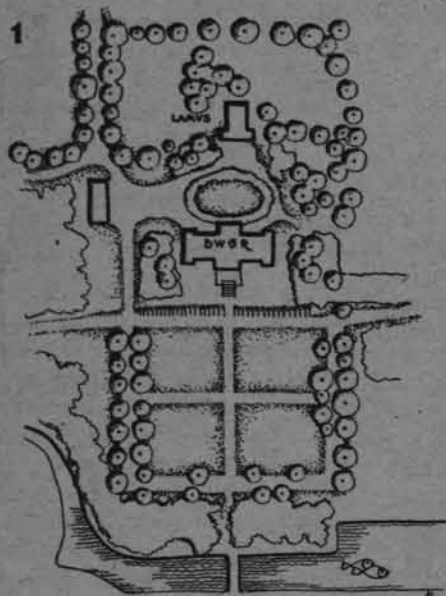
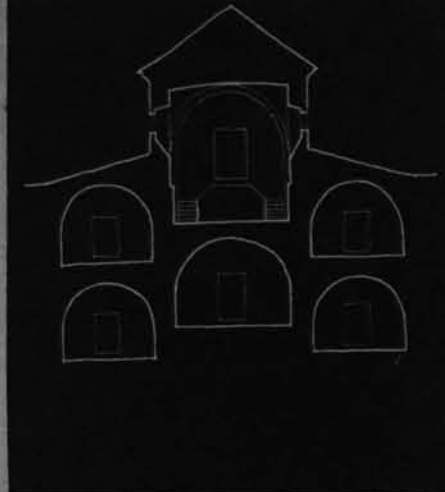


1 Plan parku, w którym mieści się lamus

2 Fragment „ogrodu włoskiego”

3 Lamus w Udryczach — część naziemna

4 Przekrój lamusa



3



LAMUS W UDRYCZACH

Janusz Bogdanowski

Podobno gdzieś na Podolu była wspaniała świątynia barokowa, lecz obrzędy odprawiano tam w ogromnych podziemiach, opatrzonych kolumnami, emporami, schodami. Nabożeństwa i procesje odbywały się przy blasku jarzących się świec i płonących pochodni, które nadawały wszystkiemu iście zjawiskowy nastrój.

Przypominają się obrazy włoskich mistrzów baroku; z ciemnego tła wynurzają się jaskrawo oświetlone postacie-zjawy, za nimi majaczą kolumny, ściany, tonące w mroku sklepienia fantastycznej architektury.

Opowieść brzmi jak bajka.

Na północ od Zamościa leży poza bezdrożnymi wzgórzami wieś o dziwnej i posępnej nazwie Udrycze. W smutnym bezludnym krajobrazie, na skraju rozległych lasów, ukryta w nieoczekiwanie dzikim i przepaścistym wąwozie — robi wrażenie zagubionej w pustkowiu. Droga opuszcza się stromo w głąb wąwozu, mija białą kapliczkę i kończy się we wspaniałym starodrzewie dawnego ogrodu dworskiego.

Wielki kwadrat trawnika okalają podwójnym szpalerem huczące rojami pszczoł, ogromne, stare lipy. Pomiędzy nimi błyszczy szeroka tafla sztucznie rozlanej rzeki. Od południa na stromej szarpie, wśród zieleni, piętrzy się nad trawnikiem „włoskiego ogrodu” dawny dwór. Dojście doń prowadzi po kamiennych schodach na tonący w zieleni szeroki taras przed dawnym dworskim salonem. Za dworem znów gęszcz drzew i krzewów, a grabowe szpalery podprowadzają do zajazdu przed budynkiem, wspartego na czterech arkadach.

Z boku, na tle sadu, szeroko rozsiadła się oficyna pod omszałą czapą gontowego dachu. Ściany jej zdobią płaskie klasycystyczne lizeny, ale wielka sala z belkowym, wspartym na sosrębie stropie (dziś niestety zamieniona na stajnię), a zwłaszcza narożne okienniki wskazywają, że budowla ta jest znacznie starsza i być może powstała już przed „szwedzkim potopem”.

Ale nie ogród i nie oficyna są tu najcenniejszymi zabytkami.

Przy końcu grabowego tunelu, wśród starych jesionów, kasztanów i klonów stoi mały niepozorny lamus dworski. Wejście w szczytowej ścianie, zwieńczonej resztkami barokowego szczytu, zdobi piękne w swej prostocie podcienie, otwierające się trzema arkadami na park. Po bokach dwa biegi schodów prowadzą ponad zejściem do piwnic przed wejście. Już drzwi zaskakują swoim wyglądem. Okute blachą, pięknie listwowane, nabijane ćwiekami i rozetami z wytłaczanymi guzami, są nieoczekiwanie wspaniałe w tym skromnym budynku. Są zbyt duże i nasuwają przypuszczenie, że może pochodzą skądinąd. Po dokładniejszym przyjrzeniu się widzimy, że otwór drzwiowy został częściowo zamurowany. Więc jednak są to drzwi lamusa.

Lecz wrażeniem, jakie sprawia na nas wnętrze domniemanego lamusa, jesteśmy naprawdę zaskoczeni.

W korpusie niskiego, niepozornego budyneczku mieści się wysoka, obszerna nawa.

niemal całkowicie zagłębiona w ziemi. Wnętrze — to zupełnie inny świat. Od drzwi do poziomu posadzki sprowadzają szerokie dwubiegowe schody, maleńkie okienka otwierają się w szerokie framugi i dają niespodziewanie dużo światła, a całość nakrywa potężne sklepienie krzyżowe. Tak może wyglądać tylko wnętrze świątyni, i to świątyni niewątpliwie celowo ukrytej.

Nową niespodzianką są piwnice schodzące dwoma piętrami pod ziemię. Wejście do nich — to wąski i stromy korytarz ceglany, który po kilkunastu stopniach rozchodzi się w trzy strony. Przypominają się różne opowiadania o przepastnych lochach starych budowli. Mijamy dwie sklepienie komory i przedostajemy się do dwóch dalszych piwnic równoległych do nawy. Idąc dalej, coraz głębiej pod ziemię, docieramy znów do identycznego niemal jak pierwsze rozwidlenia korytarzy. Wszystkie te dolne pomieszczenia są pozbawione światła, zupełnie ciemne. Schodzimy jeszcze niżej. Za dużą sklepioną salą znajdujemy przejście do drugiej, mniejszej, z dwoma zamurowanymi niszami. Na tym kończą się podziemne lochy.

Tradycja mówi, że był to podziemny zbor „braci polskich”, w którym znajdował się ukryty skarb. Podobno po wojnie przyjechali tu jacyś ludzie ze starym dokumentem i podług niego zaczęli czegoś szukać w parku. Potem zeszli do lamusa i tu zaczęli wybijać dziury w lizenach wspierających gurt sklepienia nawy. W lewej znaleźli skrytkę, z której coś wyjęli i uciekli. Miał to być właśnie ów skarb. Istotnie lizeny są podziurawione, a w jednej z nich widać odkryty schowek. Tradycja mówi również, że z zamurowanej niszy ostatniej podziemnej sali można było dojść tajemnym chodnikiem podziemnym do przydrożnej kapliczki na wzgórzu.

Zastanówmy się, ile w tym wszystkim może być prawdy.

Zachowane cechy stylowe pozwalają się domyślać, że lamus pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku. Wszystko jednak wskazuje na to, że sprzeczność między wyglądem zewnętrznym i wewnętrznym zabytku nie jest dziełem przypadku czy skutkiem przebudowy. Czyżby to był podziemny kościół jak w opowieści na początku?

Zbadajmy okoliczności powstania budynku. Pierwsza połowa XVII wieku to okres szerzenia się kontrreformacji, także i na Lubelszczyźnie. Wyrosłe w XVI wieku zbory arian i kalwinów zaczynają zniknąć. W Lublinie poparta przez gawiedź młodzież ze szkół jezuickich zdemolowała zbor i omal nie spaliła budynku. Tumulty powtarzają się raz po raz. W obawie przed podpaleniem sami dysydenci likwidują swój drewniany zbor. Podobnie dzieje się w całej diecezji. Dla obrony kalwini zaczynają wznosić w Lublinie zbor ufortyfikowany, opatrzone na rogach czterema basztami. Wywołuje to nową falę napaści. Uczniowie kolegium jezuickiego burzą murowany dwór Spinków, w którym także mieścił się zbor. Wzrastający stale ucisk powoduje albo przechodzenie innowierców na katolicyzm, albo zatajanie swej wiary i ukrywanie przez nich miejsc kultu — zborów.

Wszystko to wraz z miejscową tradycją zdaje się przemawiać za tym, że lamus w Udryczach to zbor celowo ukryty. Przypuszczenie to potwierdza również fakt, że

właścicielami dóbr udryckich byli protestanci Kiccy, o których wiadomo np., że aż do XIX wieku opiekowali się zborom w Łaszczowie.

Dlaczego jednak nie wzniesiono zboru obronnego, jak to uczynili kalwini lubelscy? Wiadomo, że arianom nie wolno było nosić i używać broni. Niektórzy z nich nawet dla zaznaczenia tego nosili drewniane szable. Arianie więc mogli zabezpieczyć swój zbor przed napaściami tylko przez staranne ukrycie go.

Zagadkową jednak pozostaje nadal rola podziemi. Być może, służyły one za miejsce ostatecznego ukrycia (arianie byli najmocniej zwalczaną sektą religijną), być może — miały jakiś wyprowadzający na zewnątrz korytarz. Nic pewnego jednak na ten temat powiedzieć się nie da.

Pod względem funkcji i wielkości wnętrza w zupełności odpowiada potrzebom zboru, i to nawet dużego. Budowle ariańskie z tego czasu istnieją w wielu miejsco-

wościach Małopolski, np. w Mirogonowicach w Kieleckim, w Młodziejowicach w Krakowskim, w Lutosławicach w Sądkiem. Zbór w Udryczach jest jednak tworem niezwykle oryginalnym, nigdzie indziej nie spotykanym ze względu na wpuszczenie całości w ziemię, i połączenie jej z systemem podziemi.

Ciekawy ten zabytek naszej architektury jest przyczynkiem do zagadnienia poruszonego na początku. Okazuje się, że w specyficznych warunkach (silna kontrreformacja i zakorzenienie arianizmu) nawet w tak niedawnej przeszłości mogła powstać podziemna, ukryta świątynia. Nie ulega wątpliwości, że jest to wypadek niezwykle rzadki. Podnosi to więc jeszcze bardziej wartość zabytkową zboru w Udryczach, nad którym należałoby rozłożyć troskliwą opiekę. Stan, w jakim znajduje się on obecnie, nie rokuje nadziei na długie zachowanie.

5 Rzut parteru

6 Rzut piwnic

7 Udrycze — oficyna dworska z XVII wieku
Zdjęcia i rysunki autora



SZKOLNICTWO POLSKIE W MIASTACH MAZUR I WARMII W XIX W.

Tadeusz Grygier

W polskiej literaturze naukowej, publicystycznej i w przekonaniu opinii publicznej przeważa pogląd, jakoby w szkołach miejskich Mazur i Warmii w XIX wieku najszybciej wyrugowano język polski oraz jakoby najwcześniej, bo już w połowie XIX w. germanizacji uległy miasta. Tymczasem przy bliższym zbadaniu rzecz przedstawia się odmiennie.

Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na jeden zasadniczy moment. Wprawdzie zarządzenia germanizacyjne wydawane po r. 1804 dotyczyły w przeważającej części szkolnictwa miejskiego, ale tylko pewnej jego części, tzw. szkół obywatelskich. Na terenie miast mazurskich i warmińskich istniały też szkoły powszechne ludowe, obejmujące najbiedniejszą ludność miast — tzw. szkoły biednych. Nazywane one były również szkołami polskimi. W szczególności sprawa ta w różnych miastach Mazur i Warmii przed-

stawiała się następująco: Nidzica posiadała już w pierwszej połowie XVIII wieku polską szkołę średnią. Za rektoratu (kierownictwa) Czernickiego i Krupińskiego poziom był tam dość wysoki, tak że do niej zjeżdżała się nawet młodzież z Gdańska, Elbląga, Królewca oraz z pogranicznych ziem polskich. Natomiast szkolnictwa podstawowego zorganizowanego miasto prawie nie miało. O tym szkolnictwie podstawowym pomyślano dopiero w roku 1816. Utworzono wówczas dwie szkoły: jedną dla bogatszych, drugą dla biednych. Szkoła miejska dla bogatych miała np. w r. 1840 4 klasy, z których najwyższa liczyła 14 uczniów, a najniższa 115. Szkoła biednych posiadała tylko jedną klasę, obejmującą 195 uczniów. Drugą cechą charakterystyczną tych szkół było to, że w szkole miejskiej uczono w języku niemieckim, a w szkole biednych w języku polskim.

Ten podział na szkoły miej-

skie i szkoły biednych jest elementem organizacji szkolnictwa we wszystkich miastach Mazur i Warmii. I tak np. w Działdowie w r. 1850 szkoła biednych liczyła 80 dzieci, a szkoła miejska, 3-klasowa 160 dzieci. W Wielbarku szkoła biednych liczyła 190, a szkoła miejska 70 dzieci.

Podkreślić przy tym jednak trzeba, że podział na szkołę miejską i szkołę biednych nie był podziałem narodowościowym. Do obu szkół chodziły dzieci polskie. Był to podział raczej klasowy, majątkowy, związany też z politycznym wyrobieniem rodziców. Do szkół biednych chodziły dzieci rodziców, którzy zdecydowanie przeciwstawiali się tendencjom germanizacyjnym władz pruskich i nie pozwalali w ogóle na naukę w języku niemieckim. W takim np. Wielbarku, gdzie w szkole biednych pannało niesłychane przepełnienie, a w szkole miejskiej w klasach pustki, władze pruskie za-

żądały od rektora szkoły przesunięcia dzieci ze szkoły biednych do miejskiej, wówczas rodzice gwałtownie zaprotestowali. Oświadczyli oni, że „nie zgadzają się na to, gdyż chcą by dzieci uczono w języku polskim, a w szkole miejskiej uczy się tylko po niemiecku.”

Zdecydowana przewaga żywiołu polskiego w miastach Mazur i Warmii sprawiała, że nieliczna grupka niemieckich urzędników państwowych odseparowywała się od ludności polskiej i nie posyłała swych dzieci nawet do szkół miejskich, ucząc je w domu lub w szkołach prywatnych.

Jakie więc względy kierowały częścią znacznie mniejszą ludności miast Mazur i Warmii, że posyłała jednak swe dzieci do niemieckiej szkoły miejskiej. Chyba przypisać to trzeba uznaniu zasady, że każdy obywatel państwa pruskiego powinien znać język niemiecki. Było to istotnie koniecznością życiową dla przyszłych więk-

szych kupców, rzemieślników, hurtowników. Niewątpliwie, z czasem ta łączność gospodarcza części ludności polskiej sprzyjała postępowi germanizacji w miastach. Ale to sprawa dopiero lat osiemdziesiątych XIX wieku. Zarządy miejskie w pierwszej połowie XIX wieku inaczej rozumiały sprawę szkół miejskich, zdecydowanie przeciwstawiały się rugowaniu języka polskiego nawet ze szkół miejskich dla bogatych. Charakterystyczną ilustrację oporu zarządów miejskich stanowi pismo magistratu miasta Elku z 20. III. 1830. Jest ono protestem przeciwko wydanym przez rejencję gabińską zarządzeniom z dn. 12. X. 1829 i 18. II. 1830 o obowiązkowym wprowadzaniu w szkołach miejskich nauki w języku niemieckim. Magistrat stwierdzał „że od samego początku nauczania wprowadzono bez wyjątku naukę języka niemieckiego jako przedmiotu nauczania. Rozumiemy, że wszyscy obywatele muszą znać język urzędowy, ale przypominamy, że mowa ojczysta jest świętością i żadne zarządzenie nie może języka ojczystego wyrugować. Co więcej, wykonanie takiego zarządzenia może wywołać opory i niezadowolenie. Pytanie, czy mowa polska zginie w naszej okolicy, pozostawiamy bez odpowiedzi. Ale wskazujemy, że jest to mało prawdopodobne wobec bliskości i stałego kontaktu handlowego z Polską. To jednak uznajemy, że w naszej polskiej szkole jest nauka języka polskiego koniecznością. Pominąwszy to, że kupcy przychodzący z zewnątrz używają mowy polskiej, ale to ważniejsze, że duża część ludności używa starej mowy polskiej. Kupcy chcą mieć pracowników, którzy znają język nie-

miecki i język polski. My traktujemy szkołę polską jako naszą dawną szkołę, w ogóle jako podstawę szkolnictwa. Chcemy w dalszym ciągu uczyć języka polskiego. Niemieckiego też będziemy nauczać, ale nie będziemy się mieszać do zainaugurowanego planowego wyrugowywania języka polskiego. Uzasadniamy nasze stanowisko tym, że nie jesteśmy przekonani o zgodności z prawem tego rodzaju akcji oraz że takie postępowanie jest sprzeczne z dążeniami naszej epoki. My dalej patrzymy w przyszłość, a takie pociągnięcia, jakich żąda rejencja, nie dają widoków na pozytywne skutki. My musimy bronić dawnych praw naszego kraju, jego odrębności wywalczonych na państwie pruskim nie raz wielkim kosztem.”

Protest magistratu miasta Elku zaniepokoił rejencję, która 4. IV. 1830 r. wysłała do Elku wyjaśniające pismo, że „miasto źle zrozumiało intencję rejencji. Nie obstajemy przy tym, by wszystkie dzieci miały tylko mówić po niemiecku i że trzeba ze szkół wyrugować język polski.” Widzimy więc, że na skutek oporów ludności polskiej, rejencja gabińska musiała zrezygnować na razie z bezwzględnej walki z językiem polskim.

Inaczej przebiegała walka o polskość szkoły w miastach mazurskich, w których już przed 1808 rokiem mieszczaństwo niemieckie dzięki swej lichzebności i przewadze majątkowej miało nieraz decydujący głos w zarządzie miejskim. Tak np. było w Ostródzie. Centrum miasta zasiedlone było przez bogatych mieszczan niemieckich. Przedmieścia natomiast zamieszkiwała ludność polska. Były tam też dwie gminy kościelne i szkolne: niemiecka i polska. Magistrat niemiecki, chcąc zadośćuczynić ger-

manizacyjnym pociągnięciom władz pruskich, postanowił w r. 1813 zlikwidować odrębność polskiej gminy szkolnej i kościelnej, ofiarowując ludności polskiej możliwość korzystania z pomieszczeń szkoły niemieckiej i kościoła niemieckiego. Projekty te wywołały gwałtowny sprzeciw. Magistrat Ostródy zarządził referendum. Wynik głosowania — 2121 głosów padło przeciwko likwidowaniu szkoły i kościoła polskiego. Gdy jednak magistrat ostródzki nie zrezygnował ze swych projektów, ludność polska 26. II. 1816 roku wysłała skargę do rejencji królewieckiej. Przedstawiono w niej „że ludność polska uznaje takie postępowanie miasta, zarządów kościelnych i szkolnych za ukrócanie praw. Ludność polska w kościele i szkole niemieckiej będzie automatycznie zepchnięta na drugi plan. Z likwidacją szkoły polskiej i kościoła polskiego może nastąpić likwidacja języka polskiego, a my wyrażamy bezwzględną wolę nauczania dzieci naszych w języku polskim.”

Magistrat miasta Ostródy, nie chcąc wywoływać większego fermentu, musiał zrezygnować ze swego projektu.

Odmienne sprawę szkoły polskiej (tzw. Armenschule) stawiała burżuazja niemiecka w Olsztynku. Uważała ona, odwrotnie niż burżuazja ostródzka, że utrzymanie szkoły polskiej jest konieczne. Dnia 9. IV. 1863 r. pisze do rejencji królewieckiej, iż „szkoła biednych musi objąć dzieci robotnicze, które muszą rodzicom pomagać w pracy i dlatego często nie chodzą do szkoły, dalej obejmuje dzieci niezdolne i tępe, wstrzymujące swą obecnością postępy w nauce całej klasy szkoły miejskiej, oraz ostatecznie dzieci, których rodzice nie mogą kupić podręczników. Szkoła ta wychować ma przy-

szłych dobrych, posłusznych robotników”. Podobne stanowisko zajął magistrat miasta Elku w drugiej połowie XIX w., który wyasygnował znaczne sumy na urządzenie szkół żeńskich dla dziewcząt z wyższych klas społecznych, a równocześnie nie miał kredytów na zaangażowanie pomocnika dla nauczyciela szkoły polskiej, Śrubę, uczącego 180 dzieci w jednej klasie. Uznano, że „podstawą podniesienia poziomu szkolnictwa miejskiego, jest jedynie konieczność usunięcia z niemieckich klas dzieci biednych i robotników oraz przekazanie ich nauczycielowi Śrubie. Myślimy bowiem usunąć ze szkoły niemieckiej język polski jako wykładowy z chwilą, gdy dzieci będą rozumieć pytania po niemiecku i będą dawać odpowiedzi po niemiecku. A ponieważ Śruba będzie miał wobec tego jeszcze więcej dzieci, więc należy obniżyć ilość godzin nauczania dziennie do 3. Tym sposobem, bez angażowania nowego nauczyciela, Śruba będzie mógł dziennie uczyć 2 komplety uczniów.”

Wywody magistratu miasta Elku nie wymagają komentarza.

Stwierdzić więc wypada, że wbrew dotychczasowym mniemaniom walka o język polski w miastach Mazur i Warmii była nie mniej silna niż na wsi. Co więcej, była ona bardziej złożona, miała za przeciwnika nie tylko władze pruskie, germanizującego nauczyciela, ale i zorganizowany samorząd miejski. Ludność polska w miastach Mazur i Warmii musiała walczyć o język polski oraz o normalny rozwój społeczny. Groziło jej dwojakie niebezpieczeństwo: albo utrata języka polskiego, albo zepchnięcie do roli pariasów w stosunku do bogatego mieszczaństwa niemieckiego.

ROMAŃSKIE RZEZBY W INOWROCŁAWIU

Maria Przeździecka

W samym prawie centrum Inowrocławia znajduje się romański kościół pod wezwaniem N. M. Panny. Jest to surowa w sylwecie budowla dwuwieżowa, wzniesiona z granitowych bloków (wieże w ich wyższej partii zostały zrekonstruowane z cegły). Niemieccy historycy sztuki¹ datowali kościół ten na początek XIII wieku. Obecnie istnieje ten-

dencja do przesunięcia okresu budowy świątyni na koniec XII wieku².

Kościół przetrwał w stanie pierwotnym do XIX wieku, kiedy w roku 1816 z powodu bardzo złego stanu zaniechano odprawiania w nim nabożeństw, a w 1834 uległ dodatkowemu zniszczeniu wskutek groźnego pożaru. Następne dziesiątki lat stał on w

kompletnej ruinie, bez dachu, z zawalonymi częściowo wieżami, aż w 1891 roku zdecydowało się miasto zabezpieczyć ten cenny zabytek, przynajmniej prowizorycznie, przez przykrycie murów. Obecnie budowla jest zrekonstruowana.

Kościół jest skromny i w rozczłonkowaniu bryły architektonicznej, i w dekoracji rzeźbiar-

skiej. Daremnie byłoby tu szukać bogatej ornamentyki romańskiej, występującej w owym czasie w rozczłonkowanych portalach, na kolumnach czy w innych partiach budowli. Portale są skromne i zdobione jedynie kilku prostymi uskokami. Przy jednym z nich, a mianowicie północnym, znajduje się rzecz nie spotykana w innych naszych zabytkach romańskich. Są to trzy maski, wydobyte w stosunkowo płaskim reliefie z bloków granitu. Zgrupowane one zostały z



← Kamienne maski w portalu kościoła Najświętszej Marii Panny w Inowrocławiu

Fot. M. Przeździecka

↓ Jedna z masek tego portalu

Fot. M. Przeździecka

prawej strony portalu i nie stanowią części jego dekoracji, lecz przeciwnie, wydaje się, iż funkcji tej nie miały nigdy spełniać, gdyż nie są uszeregowane w jakiś dekoracyjny układ, a jedna z nich umieszczona jest już nawet w murze ściany.

Poza wymienionymi maskami w wyższych partiach muru, zarówno na północnej ścianie jak i na wieżach, znajdują się liczne rytu płaskie sylwety fantastycznych zwierząt, krzyże greckie i inne ciekawe wyobrażenia, które, podobnie jak maski, nie wiążą się w żadne układy dekoracyjne. Okoliczność ta pozwala snuć daleko idące przypuszczenia, a mianowicie, że mamy tu do czynienia z pozostałością wierzeń pogańskich. Paganie bowiem postępowali podobnie, gdy chodziło o ochronę przed złymi mocami i demonami. Ludzie prymitywni nie umieli sobie wytłumaczyć wielu zjawisk przyrodniczych, odczuwali przed nimi lęk i dostrzegali w nich ukryte siły, które starali się opanować i ujarzmić za pomocą rozwiniętej szeroko magii. Na tym podłożu rozwinęło się bogate zdobnictwo okrętów wikingowskich, których rzeźbione w drzewie smoki miały za zadanie odstraszenie złych duchów wodnych. Przy zawijaniu okrętów do portu zdejmowano te smocze głowy, by nie przerażały duchów lądowych³. Podobną funkcję spełniały rytu na ścianach drewnianych pogańskich świątyń pomorskich wizerunki zwierząt i ptaków, o czym wspomina mnich Herbord w swym sprawozdaniu z akcji nawracania pomorskich pogan z 1158 r.⁴

Nie stanowiło to zresztą zwyczaju tylko północnych ludów. Podobnie zabezpieczali się Etruskowie, którzy na swych drewnianych świątyniach umieszczali plakiety gliniane z głowami demonów i maskami.⁵

Wierzenia magiczne znalazły swe odbicie w sztuce romańskiej, gdzie nie tylko w plecionką i roślinną ornamentykę wkompono-



wane są różne, nieraz bardzo fantastycznie przekształcone przedstawienia zwierząt oraz rozmaite maski, lecz występują one również wyodrębnione z ornamentu, chociaż w budownictwie zachodnim są rozmieszczane w pewnym określonym porządku i najczęściej pod fryzem arkadowym. Takie usytuowanie zwierząt i masek można zauważyć w romańskim budownictwie sakralnym Niemiec, Austrii, Francji i Włoch. Z powodu uporządkowanego układu tych przedstawień, uważano je powszechnie za pewną formę dekoracji. Niemieccy historycy sztuki⁶ wyrażają jednak przypuszczenie, że zostały one umieszczone pod dachem jako magiczna ochrona przed pożarem.

Można byłoby mieć pewne zastrzeżenia co do związania prawie całej ornamentyki romańskiej z przeżywającymi się formami magii pogańskiej, co nawet Kościół jakoby sankcjonował. Lecz w wypadku Inowrocławia skrupuły takie byłyby zbędne. Rytu wizerunki zwierząt i inne znaki, jeśli chodzi o widza podziwiającego zewnętrzną sylwetkę kościoła, są rozmieszczone zupełnie przypadkowo, na ogół trudne do odnalezienia, jak się więc zdaje, nie były pomyślane jako element dekoracyjny, lecz spełnić miały inną funkcję, a więc zapewne jednak magiczną. Potwierdza to ich rozmieszczenie na odcinkach najbardziej zagrożo-

nych przez „złe siły“, a więc w wyższych partiach ścian i pod dachem dla ochrony przed pożarem, zawaleniem czy innymi nieszczęściami, mogącymi od tej strony grozić budowli, oraz przy drzwiach, by odstraszyć złe demony od chęci zajrzenia do kościoła.

Według pojęć pogańskich głowa jest siedliskiem siły i jej wyobrażenie zdolne jest odstraszyć zło. Żeby działanie takiej maski było silniejsze i skuteczniejsze, dodawane są do niej często atrybuty zwierzęce, np. na świątyniach etruskich posiadały one uszy i rogi byka. Zwłaszcza dużą rolę w wierzeniach pogańskich odgrywały uszy, więc dodanie uszu zwierzęcych do głowy ludzkiej, jak to widoczne jest na dwóch maskach z Inowrocławia, wyposażało ją w podwójną siłę: ludzką i zwierzęcą.

Inowrocławskie maski i rytu przedstawienia zwierzęce wykonane są najprawdopodobniej przez miejscowych kamieniarzy, kontynuują więc być może jeszcze stare i tradycyjne formy wytworzone w świątyniach pogańskich.

PRZYPISY

¹ J. Kohte: *Verzeichnis der Kunstdenkmäler der Provinz Posen*, Berlin 1897, t. IV, str. 28.

² *Architektura polska do poł. XIX w.*, ryc. 57 (I wyd.).

³ W. v. Blankenburg: *Heilige u. demonische Tiere*, Leipzig (1943), str. 18.

⁴ J. Bühler: *Deutsches Geistesleben*, str. 110.

⁵ J. Kohlbrugge: *Tier- und Menschenantlitz als Abwehrzauber*, 1926, str. 22.

⁶ W. v. Blankenburg: o.c., str. 118.

Karczma w Małaszewie

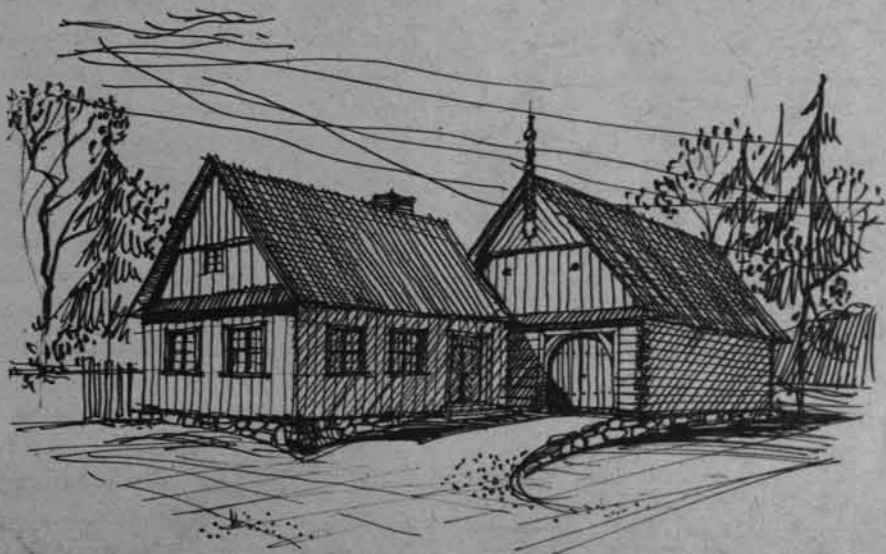
Jeszcze kilkanaście lat temu wiatr poruszał na dachu metalową chórą-giewką. Cztery cyfry — 1813 — wy-cięte w zardzewiałej blasze, upamięt-niały rok budowy karczmy w Mała-szewie. Czasy to dawne — inaczej wówczas wyglądało otoczenie mała-szewskiego jeziora. Nie było jeszcze wsi, a zwarty, gęsty las schodził aż nad same brzegi. Poziom jeziora był ponoć wyższy, a na wyspie leży się wilki. Wilczyce dostarczały młodym pożywienia, przepływając z brzegu przez płycznę.

Początek osadzie dały: dom leśni-czego, owczarnia obsługiwana przez starego pasterza zamieszkującego niewielką chałupkę i wreszcie w rze-czonym roku 1813 karczma i młyn wodny, postawiony nad zasilającym jezioro potokiem. Inwestycje te były dziełem braci Krzykowskich i oka-zały się niezwykle trwałe. I młyn, i karczma istnieją do dziś, a swą pierwotną funkcję pełniły aż do ostatniej wojny. Przedsiębiorstwem szczególnie intratnym była karczma, przez lat kilkadziesiąt przynosząca właścicielom niezłe dochody.

Zanim wybudowano nowoczesne szosy i linie kolejowe, sieć drożna na Mazurach wyglądała inaczej niż obecnie. Jeden ze szlaków, którym jeździli kupcy do Olsztyna, Szczytna czy Nidzicy, przebiegał właśnie wzdłuż małaszewskiego jeziora, a w karczmie Krzykowskiego podróżni często zatrzymywali się na nocleg.

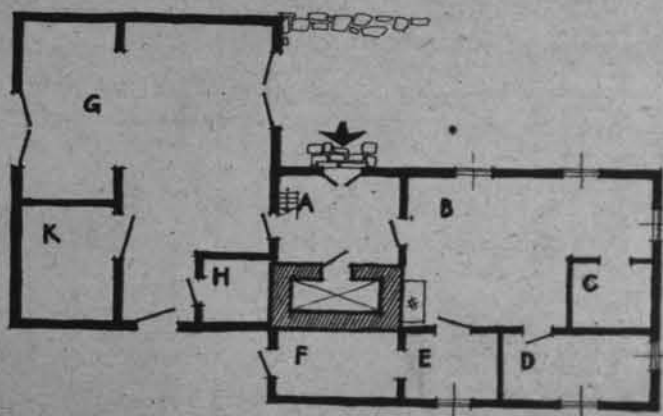
Po brukowanym granitem podjeź-dzie wtaczały się wozy i karety do wielkiej stajni. Tu wyprzegano konie i ustawiano je przy żłobach w osob-nej przegrodzie. Pieszy podróżny

(Dokończenie na str. 14)



Karczma w Małaszewie

- A — sień
- B — izba karczemna
- C — składzik na wódkę
- D — pokój gościnny
- E-F — mieszkanie karczmarza
- G — stajnia, wo-zownia
- H — chlew
- K — obora



KMINA OCHWEŚNICKA

ZYGMUNT PĘCHERSKI

Manki kumatek siwra po ochweśnicku. W Ślesinie wsiackie łanioki psulą po ochweśnicku. Młokorne skicioki i karyżki bítez kminią i siwrają co manki bitu grypsa.

Co to jest? Obcy język czy szyfr?

Niespodziewaną atrakcją Ślesina, małego miasteczka w powiecie konińskim, jest zachowany tu i w pełni kultywowany żargon. Biegle nim włada około 3000 ludzi. Mowa ta jest zupełnie niezrozumiała dla otoczenia. Nie jest to żaden język obcy, nie jest to gwara, lecz sztuczny żargon zawodowy.

Ślesinianie mówią żargonem szybko i nosowo, co jeszcze bardziej utrudnia zrozumienie. Spotykamy w nim słowa pochodzenia przede wszystkim polskiego, lecz nie brak i słów z języka niemieckiego, rosyjskiego, greckiego a nawet ormiańskiego. Ślesinianie używają także ciekawej formy gramatycznej, która wyklucza pierwszą i drugą osobę tak w liczbie pojedynczej, jak i mnogiej. Wszystko się mówi w trzeciej osobie.

Przytoczona powyżej próba żargonu oznacza po polsku: Ja rozumem trochę po obraźniku. W Ślesinie wszyscy ludzie mówią po obraźniku. Młodzi chłopcy i dziewczęta też mówią i rozumieją, co ja tu piszę.

Żargon ten spopularyzował się w Ślesinie w XIX wieku, kiedy ślesinianie trudnili się masowym skupem gęsi na eksport, wywożonych z ówczesnego Królestwa Kongresowego do Prus. Nie znany kontrahentom „język” był bardzo przydatny w handlu. Dziś nie ma on już znaczenia handlowego. Mimo to każde dziecko w Ślesinie za punkt honoru poczytuje sobie biegle władanie „językiem ślesieńskim”.

Ślesinianie przejęli znajomość żargonu od pobliskiej osady Skulsk. Dlatego żargon w tym artykule nazywany ślesieńskim sami ślesinianie nazywają „kminą ochweśnicką”, czyli językiem obraźnickim. Skulsk bowiem był przez długie lata ośrodkiem masowej produkcji obrazów, czyli „ochwe-

stów”. Księgi parafialne w Skulsku zapisują na początku XIX wieku wśród świadków ślubów i chrztów dużą ilość zawodu „malarza papierowego”. Owi „malarze” stanowili około połowę uprawianych tam zawodów, pośród rolników, rzemieślników i kupców. Parafia zaś skulska obejmowała kilka wsi okolicznych. Przewaga więc obraźników czy, jak tu ich nazywano, „malarzy papierowych” jest tutaj wyraźna. Nie mamy do dyspozycji materiałów z XVIII wieku. Wydaje się jednak, że zawód skulskich obraźników sięga kilku wieków.

Obrażnicy skulscy produkowali obrazy systemem seryjnym, można by dziś powiedzieć — „taśmowym”. Rozkładano na ławie sztuczkę płótna i dzielono na pola przyszłych obrazków. Następnie maczano palce zwiniętej odpowiednio dłoni w farbie i odciskano ją na środku każdego pola. Wysunięte naprzód palce, wskazujący i środkowy, wyznaczały oczy, podwinięty zaś kciuk i palec serdeczny robiły płamę na miejscu przyszłego nosa i ust. W ciągu kilku sekund zostały już wyznaczone proporcje twarzy świętego. Teraz obraźnik brał na przykład czerwoną farbę i malował od razu na wszystkich obrazach usta. Następnie brał farbę niebieską i malował oczy itd. W ten sposób powstawało od razu siedem podobnych obrazów, których wartość artystyczna prawdopodobnie nie była wielka. Obrazy skrzętnie zbierano i dopiero w sezonie ruszano z nimi w teren. Obrażnicy handlowali także cudownymi lekarstwami, mającymi leczyć wszystkie choroby. Zajmowali się również sprzedażą dewocjonaliów, a pod koniec XIX wieku i sprzedażą oleodruków. Lekarstwa, czyli tak zwaną „medycynę”, i oleodruki przemycano przez granicę z Poznańskiego. Ośrodkiem produkcji „medycyny” było tam Trzemeszno.

* * *

Żargon ochweśnicki ze Ślesina zaliczany jest przez językologów do grupy żargonów zawodowych (handlowych, dziadowskich i złodziejskich). Według tezy Wandy Budziszewskiej (Żargon ochweśnicki, Rozprawy Komisji Językowej ŁTN, Łódź 1955) żargon ów powstał około 100 lat temu, w momencie kiedy wędrowni handlarze ze Skulsk i Ślesina zetknęli się we wschodniej Lubelszczyźnie z zawodowymi żargonami ruskimi. Wśród nich najpoważniejszą rolę odegrał żargon „ofenów”, wielkoruskich wędrownych przekupniów, handlujących galanterią i dewocjonaliami na trasie Astrachan—Oka—Wołga.

Obrażnicy wędrowali grupami. Jeden bardziej przedsiębiorczy miał bazę główną, w której zapatrywali się w towar członkowie grupy. Porozumiewali się oczywiście „kminą ochweśnicką”. Zasięg handlu skulskich obraźników był wielki. Obejmował nie tylko całą Kongresówkę, ale także i całą Białoruś i zachodnią Ukrainę. Spotykać można było skulskich obraźników nawet w okolicach Smoleńska. Istniały także w Polsce i inne ośrodki obraźnicze. W wielkopolskim Starym Krotoszyźnie zachowała się do dziś tradycja „języka obraźnickiego”. Język ten zna tam jednak zaledwie kilkadziesiąt osób, i to bardzo ograniczoną ilość jego wyrazów. W Skulsku żargon ten także wymiera. Jedynie w Ślesinie żyje nadal w pełnym rozkwicie. Żargon obraźnicki ma wiele wspólnego z żargonem złodziejskim, z którego sporo słów spopularyzowały felietony Wiecha. Wiemy więc dobrze, że kimać znaczy spać, troić znaczy jeść, hopki to pieniądze, mikrus to mały itd. Lecz „kmina ochweśnicka” jest znacznie bogatsza. Obok troić — jeść, mamy trojana — jedzenie, truja — usta. Obok kimać — spać, jest kimka — noc, kimadło — łóżko itd.

Obrażnicy w handlu swoim doznawali licznych przygód. Handel ich nie miał bynajmniej charakteru tajnego. Obrażnik zaraz po przybyciu do wsi, zgłaszał się oficjalnie do sołtysa, który śpiesznie powiadamiał wieś o przybyciu handlarza. Goszczenie obraźnika było niejako przywilejem. Każdy więc chętnie zabiegał, aby obraźnik zatrzymał się w jego chacie. Gdy się wieś zgromadziła, handlarz wchodził na stół. Modlił się, rozdawał następnie obrazki i błogosławieństwa. Dopiero po tym wstępie zaczynała się sprzedaż „medycyny” i obrazów. Opowiadają o przygodzie, jaka zdarzyła się jednemu z obraźników, który przez kilka sezonów nie mógł znaleźć nabywcy na pewien obraz. Inne szły od ręki, a ten właśnie ciągle mu zostawał. Zdenerwowany obraźnik, przechodząc przez las, powiesił obraz na drzewie i solidnie obił kijem. Zapowiedział przy tym świętemu, którego wizerunek obraz przedstawiał, że codziennie portret jego dostanie takie lanie. Święty najwidoczniej przeraził się groźby, gdyż zaraz w następnej wsi obraz jego został sprzedany jako pierwszy.

(P. S.)

Niekiedy obraźnicy żerowali na przesadach ludności. Jeden z nich przyszedł do wsi, do chałupy gospodyni, której mąż był nieobecny. Kobieta właśnie wkładała ciasto chlebowe do pieca. Propozycję kupna obrazu zbyła odmową. Obrażnik powiedział kilka słów po ochweśnicku, zagwizdał, przed domem narysował znak na piasku i poszedł. Kobieta pobiegła za nim i długo błagała, aby wrócił, zmasał znak, odgwizdał i odzegnał to, co powiedział. Następnie nabyła bez targu kilka obrazów. Przez ten czas chleb w piecu się spalił.

Po pojawieniu się oleodruków obraźnicy zaczęli sprzedawać je

obok własnych obrazów. W pewnej wsi kobieta zgodziła się na kupno obrazu patrona swego męża, Marcina. Obrażnik wskazał pierwszy z brzegu obraz, twierdząc, że to jest właśnie św. Marcin. Kobieta jednak upierała się, że św. Marcin jest zawsze na białym koniu. Obrażnik sięgnął więc do oleodruków i sprzedał podobiznę... Wilhelma I na koniu. Dopiero mąż, umiejący czytać, po powrocie ujawnił oszustwo obraźnika.

Na zakończenie, by w pełni okazać niezrozumiałość „mowy obraźniczej“, podajemy jeszcze jedną próbkę tego żargonu wraz z polskim tłumaczeniem:

Slesin to klawośny kielec. Wsiacki skiciok ze Slesina klawośno tryni Stykloją się bitu klawośno karygi i skraby. Manus zadulił ganca i lipuje jak mankiego karyzka tryni. Manki opulił kon-tur kiry, pętowę i wołówko, stachcił parzych i biteż tryni. Przypnajął się głuporny blych i roztachcił mankiemu trojanę na benkle. Manki dziaknął bitymu kops. Bityn jagnał kaniolę i przez dźwiruchy sknawał z chazy. Na stradze jorał się jeszcze po styi. Wsiackie świdziory pnajaly za bitym blychem koronowanym. Niech bityn znachci, jak się wieść w kapeli.

Przypnająjcie do Slesina. Bitu klawośno. Styklo się łoks, dylka, poso trojany. Można kimać w kolydze na masule, bijak nie siewiarno. Styklo się bityż kimanie w chazie w kimadle pod purchową. Przyjardolcie w bitym jarkusie do manusa.

(Slesin to ładne miasto. Każdy chłopak ze Slesina ładnie tańczy. Są tu ład-

ne panny i mętatki. Ja zapaliłem papierosa i patrzę, jak moja panna tańczy. Kupiłem dzban wódki, kielbasę i piwo, zdjąłem kożuch i też tańczę. Podszedł głupi cham i rozrzucił mi jedzenie po stole. Dalem mu lanie. On wziął czapkę i przez drzwi uciekał z domu. Na drodze jeszcze drapał się po plecach. Wszystkie dzieci biegły za tym chamek koronowanym. Niech on wie, jak się zachować w gospodzie.

Przybądźcie do Slesina. Tu ładnie. Jest las, woda, dużo jedzenia. Można spać w stodole na słomie, jeśli nie zimno. Można też spać w domu w łóżku pod pierzyną. Przyjeździe w tym roku do mnie).

Może ta mała próbka „języka ślesińskiego“ zachęci czytelników do odwiedzenia tych stron.

Zygmunt Pęcherski

RUINY DWORU OBRONNEGO W WIERUSZYCACH

(pow. bocheński)

Marian Kornecki

W niewielkim oddaleniu od Łapanowa, na wzgórzu ponad malowniczą na tym odcinku doliną rzeki Stradomki, wznoszą się mało znane ruiny dworu obronnego w Wieruszycach. Ruina osłonięta z trzech stron zarzewieniem nie jest widoczna z prze-

biegającej poniżej drogi; dojdzie do niej prowadzi stromą zdziczałą aleją dojazdową.

Dwór piętrowy, wzniesiony z kamienia z fragmentarycznym użyciem cegły, w narożnikach ujęty jest blokami z ciosu. Zbudowany na planie

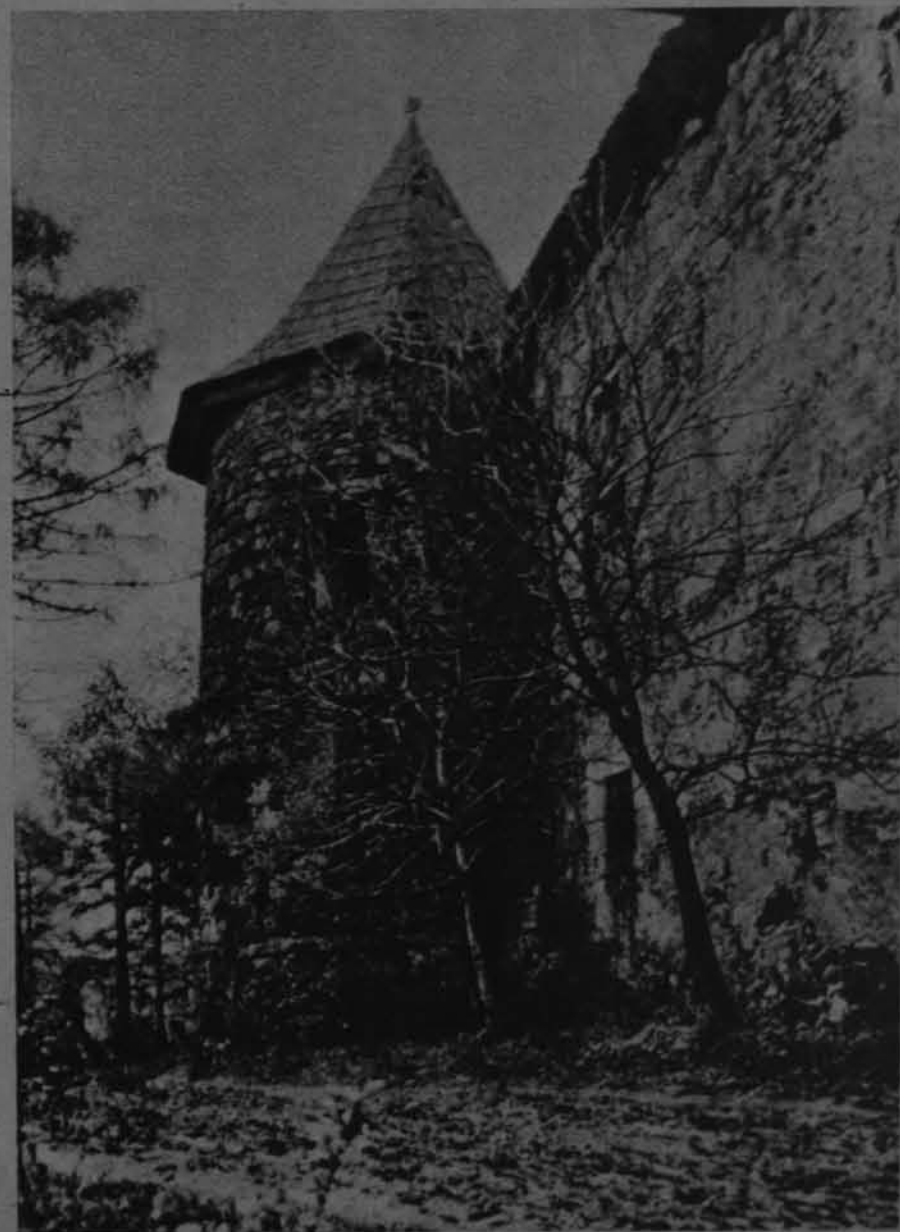
prostokąta zbliżonego do kwadratu z okrągłą, oszkarpowaną basztą przy jednym z narożników. Wnętrze, obecnie całkowicie zrujnowane, zawierało w głównym korpusie cztery pomieszczenia, przykryte sklepieniami kolebkowymi z lunetami. Zachowały się fragmenty kamieniarki renesansowej; niektóre obramowania okienne i resztki nadproży wejść.

Budynek pochodzi z I połowy XVI wieku (być może wzniesiony został w r. 1531 — data na jednym z nadproży). Obiekt z dawna przemieniony został w spichlerz, w początku XX wieku częściowo znajdował się już w ruinie, jednakże nakryty był

jeszcze wtedy malowniczymi dachami gontowymi: na korpusie dwoma równoległymi siodłowymi, nad basztą — stożkowym.

Zameczek w Wieruszycach stanowi interesujący przykład obronnego dworu renesansowego o znacznej wartości zabytkowej.

W najbliższej okolicy, na wzgórzu ponad Stradomką, wznosił się niegdyś średniowieczny zamek obronny w Chrostowej, uległ jednak całkowitemu zburzeniu i pozostały po nim zaledwie ślady. W czasie ostatniej wojny przepadł zaś nowszy nakryty dachem łamanym dwór w Wieruszycach, usytuowany opodal zameczka.



↑ Wieruszyce, powiat Bochnia — ruiny dworu obronnego z XVI wieku. Stan obecny

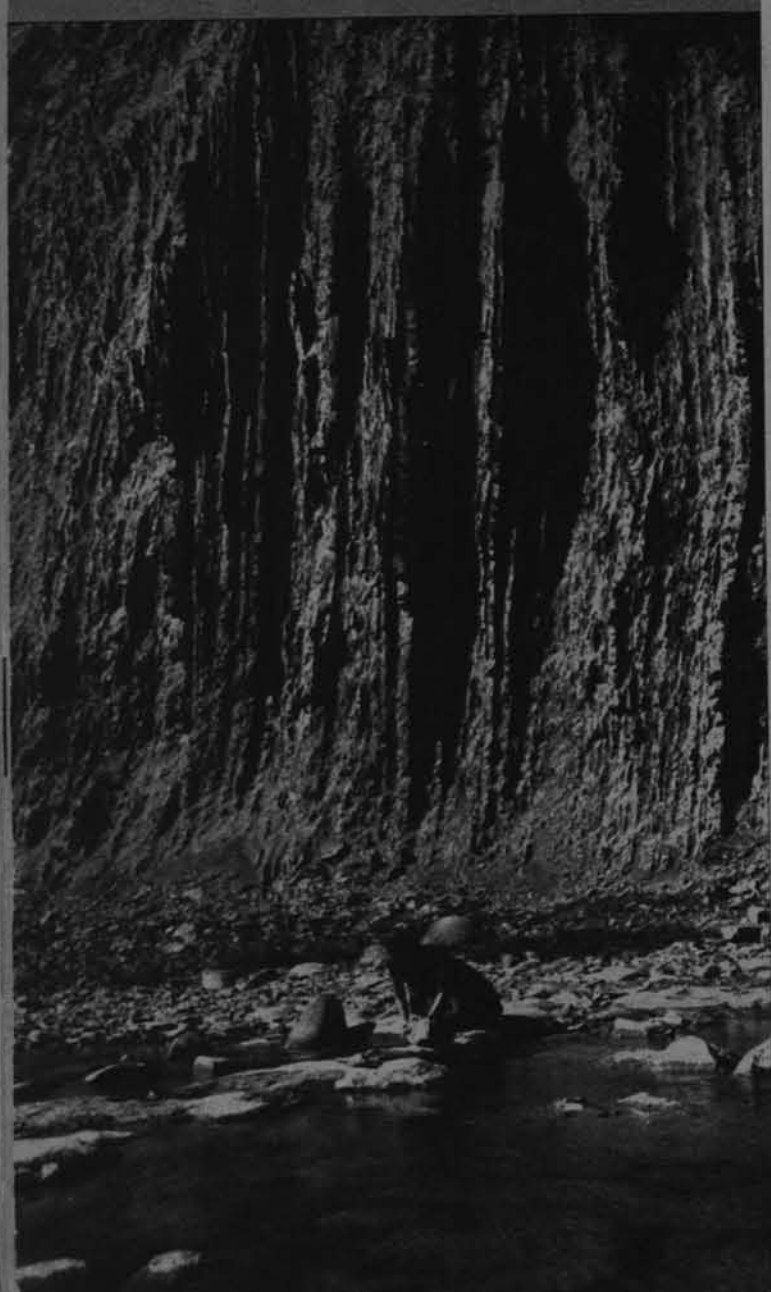
Fot. Marian Kornecki

→ Wieruszyce, powiat Bochnia — ruiny dworu obronnego, według dawnej fotografii sprzed I wojny światowej. Archiwum Kons. Woj. w Krakowie



Bieszczady jakich nie znacie

TEKST I ZDJĘCIA
WOJCIECH PŁEWIŃSKI



Któż z nas nie czytał powieści Zane Grey i nie marzył o przygodach cowbojskich na stepach Nowego Meksyku czy Arizony? Gdy szedłem do Tworylnego, wiedziałem że życie pasterzy bydła w Bieszczadach jest niezwykle, ale nie spodziewałem się ujrzeć i usłyszeć tego, co we fragmentach zaledwie przedstawia mój opis i zdjęcia.

Szedłem z obawą. Nie wiedziałem mianowicie, czy ich jeszcze zastanę. Właśnie zbliżała się pora wielkiego, jesiennego przegonu bydła w doliny. Podhalańscy bacowie pędzili już swoje stada owiec ku stacjom kolejowym. Idąc drogą wzdłuż kamienistego łóżyska Sanu, pilnie patrzyłem pod nogi. Przegon bydła musiałby pozostawić ślady tysięcy racic. Śladów jednak jeszcze nie było.

Tworylne — to obecnie pojęcie tylko geograficzne. Łagodne wzniesienie w zakolu Sanu otacza dokoła amfiteatr gór. Pokrzywy, zawalone studnie i piwnice, zarosnięte krzewami ruiny wskazują miejsce, gdzie niegdyś rozciągała się spora wieś.

Poza kępą starych lip, wewnątrz drewnianego ogrodzenia gęsto stłoczone łacie grzbiety krów. Kilku zachrypniętych, zmęczonych wyraźnie ludzi przegania bydło do mniejszego okólnika. Pojedyncze sztuki prowadzą kolejno na wagę. Jutro konwój ruszy w doliny — dziś sprawdza się stan pogłowia i sporządza spisy bydła, które na cały sezon państwowe gospodarstwa rolne powierzyły pasterzom.

Mariusz Merski i Henryk Victorini (studenci weterynarii) już trzecie lato spędzili na siodłach. Rozumiem ich doskonale — życie konnego pasterza w Bieszczadach ma tę przewagę nad przygodami Hopalong Cassidy, że nie czyta się tu o przygodach z kartek powieści, lecz przeżywa się je naprawdę.



← (z lewej) — Pies Raf w koczarskiej obrożi



← (z lewej u dołu) — Zaraz po drugiej stronie Sanu udało się autorom podpatrzeć jelenia na rykowisku



— (poniżej) — koczowanie bydła



↑ *Przed jesiennym przegonem, konni pasterze formują stado w konwój na rozległej płaszczynie otaczającej Tworylne*



↑ *Na miejscu dzisiejszych ruin stały niegdyś zabudowania wsi Tworylne*



↑ *Studenci weterynarii Mariusz Merski i Henryk Uictorini*





O przygodach opowiadają mi dopiero wieczorem, gdy zdmuchnąwszy lampę wsunęliśmy się do spiworów. Opowiadają o ośmiu napadach wilków na stada — z tego sześć odparto, a dwa pozostały w zagrodzie trupy krów (teraz rozumiem, dlaczego obroża psa Rafa na jeżona jest długimi kolcami). O burzy nocnej, która wprawiła bydło w obłędny strach i spowodowała ucieczkę całego stada po wyłamaniu ogrodzeń. Przy świetle błyskawic całą noc ścigano wówczas po górach rozpiezchnięte stada. Widziano, jak konie wypuszczane na paszę nieraz pasły się na polanach razem z jeleniami. Zanim zapadłem w kamienny sen, przypomniałem sobie, że jeszcze jeden fakt dopełnia niezwykłości dzisiejszego noclegu. Oto kwatera pasterzy — domek z płyt pilśniowych — mieści się dokładnie w tym miejscu, gdzie przed laty znajdowała się główna kwatera „banderowców”.



Ranek wstaje pogodny. Budzi mnie ryk jeleni zza Sanu. Brnę za chwilę w mokrej, wysokiej do kolan trawie. Za urwistym zakrętem rzeki na niewielkiej łączce dostrzegam dwa walczące byki. Rogi przy zderzeniu wydają odgłos podobny do klekotu kół wozu na piaszczystej drodze. Zanim jednak przebrnąłem przez wodę i wdrapałem się przez krzaki na wysoki brzeg, chroniąc teleobiektyw za koszulę — walka była skończona. Jeden z rywali zniknął w gąszczu, drugiego widzę wyraźnie, prosto pod wschodzące słońce. Przez chwilę ryczy groźnie i orze rogami ziemię. Zanim poderwie się do biegu — strzelam kamerą.

Gdy wracam do baraku, zastaję tam już konnych konwojentów, którzy mają pomagać w przeprowadzeniu stad w doliny. Konwój formuje się na rozległej płaszczynie. Podziwiam sprawność pasterzy. Ze stada pędzonego galopem oddzielają oni na bok sztuki słabe, które pójda osobno. Stado stopniowo wydłuża się i niby olbrzymi wąż wchodzi w kamienny wąwóz i znika wreszcie za horyzontem. Obóz opustoszał zupełnie. Dopiero następnego roku z pierwszą trawą pojawią się tu znów ludzie i ich stada.



← Drewniane ogrodzenie wypełniają gęsto stłoczone grzbiety krów

↓ Wydłużony konwój stad bydła opuszcza Tworylnę i przechodzi w Dolinę Sanu



PROBLEM NIEDZICKIEJ LEGENDY

Anna Kowalska Lewicka

(Dokończenie)

Na przeciąg stu lat zapanowuje w Peru pokój, jeśli pokojem nazwać można bezprzykładny terror i ustawiczne akty gwałtu dokonywane na bezbronnych Indianach. Ale już pod koniec XVII w. zaczynają się pierwsze ruchy wolnościowe. Wiek XVIII, czyli końcowa faza okresu kolonialnego i osłabienia ucisku, jest w historii Indian okresem odrodzenia patriotyzmu i dawnych tradycji. Również autorytet arystokracji indiańskiej, zwłaszcza potomków Inki. Posiadają oni znaczne majątki, bardziej wpływowi otaczają się dworem i przestrzegają ubioru, sposobu życia i ceremoniału panującego niegdyś na dworze władców w Cuzco.

W tej właśnie atmosferze wyrasta postać José Gabriela Tupaca Amaru, bogatego arystokraty. Nie posiadamy dziś dowodów na to, że był on istotnie w prostej linii potomkiem Inków, niemniej jest to wielce prawdopodobne¹². Nie wiadomo też dziś, czy przed objęciem dowództwa sił powstańczych nosił on imiona Tupac Amaru, czy też przybrał je dla podniesienia swego autorytetu i przypomnienia współrodakom bohatera narodowego z XVI w.

Dość na tym, że w sierpniu 1779 wybucha powstanie Indian peruwiańskich, które potem przenosi się na obszar dzisiejszej Boliwii. W listopadzie roku 1780 dowództwo obejmuje José Gabriel Tupac Amaru. Po nieudalym oblężeniu Cuzco, w maju 1781, armia powstańcza zostaje pobita, a Tupac Amaru ujęty i stracony na placu centralnym w Cuzco, podobnie jak to się stało o 210 lat wcześniej z jego imiennikiem. Rebelia nie wygasa jednak. Na widownię wysuwają się dalsi wodzowie, a wszyscy mienią się krewnymi i spadkobiercami Tupaca Amaru. Na terenie Boliwii pojawia się nowywódz, Andrés Tupac Amaru, który mówi o sobie, że jest synem i spadkobiercą José Gabriela. Dotąd nie zostało ustalone, kim był naprawdę i skąd przybył. Aby ulegalizować swe stanowisko, legitymował się piśmem José Gabriela, datowanym 1 lipca w Tinta (a więc pisany rzekomo przez niego więcej niż w miesiąc po egzekucji), gdzie José Gabriel przekazuje mu testamentem swą „ojcowską” władzę. Po nieudalym oblężeniu La Paz Andrés Tupac Amaru znika z widowni, lecz nad ostatnimi epizodami rebelii zdaje się wciąż unosić duch José Gabriela. Jego krewni, prawdziwi i fikcyjni, wciąż jeszcze w oparciu o jego autorytet dominują na scenie wydarzeń tego czasu. W maju 1783 raz jeszcze wybucha rebelia, kierowana przez osobistość tytułującą się Felipe Velasco Tupac Inca Yupanqui. Nowy ród powołuje się na pokrewieństwo z José Gabrielem, a ducha bojowego Indian zagrzewa opowiadaniem, że José Gabriel żyje i zasiada na tronie imperatorskim w kró-

lestwie Paititi. Ale i to powstanie zostaje zgniecione. Jest ono ostatnim z cyklu rebelii nazwanych od osoby najwybitniejszego przywódcy powstaniem Tupaca Amaru.

Po upadku powstania przychodzi okres terroru, a co gorsze, okres zupełnego załamania się psychicznego Indian. Arystokracja kierująca ruchami wolnościowymi tego okresu zostaje częściowo wygubiona, częściowo zhispanizowana, reszta schodzi do roli chłopów i proletariatu indiańskiego.

Powstania XVIII wieku nie miały na celu walki z królem i Kościołem, a tym bardziej z ówczesnym ustrojem. Zło dostrzegano tylko w nadużyciach miejscowych urzędników hiszpańskich i głównie przeciw nim kierowała się akcja powstańcza. Dlatego też powstańcy znajdowali wielu sympatyków wśród światlejszych warstw hiszpańskich, a zwłaszcza wśród kleru. Ponieważ jednak Indianie nie posiadali własnych kronikarzy, a ówczesni historycy hiszpańscy znali wydarzenia głównie od swej strony, organizacja ruchów powstańczych, wzajemny kontakt grup operujących w różnych częściach kraju, osoby wodzów i ich losy po upadku rebelii (z wyjątkiem samego Tupaca Amaru) nie są dziś zupełnie znane. Z całej historii Peru okres powstań kryje najwięcej tajemnic, które wobec braku źródeł zapewne nigdy nie zostaną wyjaśnione¹³.

W tym świetle udział w powstaniu Sebastiana Berzeviczego, jego małżeństwo z Indianką, udział w powstaniu, małżeństwo jego córki z jakimś prawdziwym czy fikcyjnym krewnym Tupaca Amaru jest prawdopodobne i nie należy dziwić się, że nie pozostawiło żadnych śladów w kronikach ówczesnych. Dziwne nieco jest tylko imię córki Sebastiana: Umina, gdyż już wtedy wszyscy szlachetnie urodzeni Indianie, a tym bardziej metysi jak Umina byli chrześcijanami i nosili obok indiańskich imion chrześcijańskie (choćby przywódcy powstań).

Nieco niejasno w świetle dat przedstawiają się dalsze dzieje rodziny Sebastiana. Powstanie zostaje bowiem ostatecznie zgniecione w r. 1783, czyli Umina musiała wyjść za mąż przed tym rokiem, o ile nie przed rokiem 1781, bo wtedy zginął właściwy Tupac Amaru, który — jak tradycja rodzinna Beneszów głosi — oddał swego krewnego Sebastiana za zięcia (w dowód wdzięczności za zasługi w powstaniu). Weźmy już jednak jako datę ślubu Uminy rok 1783. Od tego czasu młode małżeństwo żyje spokojnie i bezdzietnie we Włoszech przez lat około czternaście, po czym nagle w ciągu kilkunastu miesięcy wypadki zaczynają biec z zawrotną szybkością. Przychodzi na świat mały Antonio, jedyny syn Uminy i spadkobierca

Tupaca Amaru, ginie zasztyletowany mąż Uminy, cała rodzina wyjeżdża do Niedzicy (Włochy — Niedzica w tym czasie to nie była jaka podróż), ginie Umina, Wacław adoptuje Antonia, ginie wreszcie sam Sebastian — a więc w tym krótkim czasie jedne narodziny i trzy śmierci, nie licząc innych wydarzeń.

Przejdźmy z kolei do historii rodu Berzeviczych. I tu również napotykamy cały szereg tajemnic. Tytuły, jakich używa na dokumencie Wacław, dowodzą, że ci właśnie Berzeviczy'owie pochodzą z polskiej linii, jaka tu przybyła z Batorym, gdyż tylko ona nosiła tytuł baronów de Dondangen (od posiadłości w Inflantach). Na nasze nieszczęście, jeśli wierzyć herbarzom: Niesieckiego, Bonieckiego i Uruskiego, rodzina ta wygasa w połowie XVII w.¹⁴ Może jakaś jej gałąź wywędrowała na Węgry i dlatego nie objęli jej polscy heraldycy, ale o tym po pierwsze nie wspominają cytowane dzieła, po wtóre Berzeviczy'owie mieszkający na Węgrzech chyba nie porozumiewali się między sobą językiem polskim (który przecież nigdy nie był ich językiem rodzinnym), i to tak czystym, jak na to wskazuje dokument adoptacyjny.

Sebastian, żołnierz i podróżnik, musiał być niewątpliwie wybitną postacią swego czasu. Dziwi nas więc trochę, że nie spotykamy jego osoby w nader szczegółowym słowniku biograficznym obejmującym ówczesną Austrię i Węgry, gdzie mowa o kilku Berzeviczych, którzy — jak wynika z opisu ich życia — znacznie mniej dokonali niż Sebastian¹⁵.

Zastanawiająca jest również zmiana nazwiska z Berzeviczy na Benesz. Andrzej Benesz tłumaczy ją w taki sposób: Ferdynand Berzeviczy, wnuk Marcina, protoplasty polskiej linii (o Ferdynandzie i jego ojcu, a synu Marcina, Mikołaju, polskie herbarze milczą), urodzony w r. 1624, żeni się z Morawianką Barbarą Benesz de Krawasz (1636—1741, czyli żyła 105 lat). Barbara opuszcza męża i wyjeżdża do Czech zabierając z sobą synów, z których jeden będzie później ojcem Sebastiana. W ten sposób oderwała synów od reszty rodziny Berzeviczych i narzuciła im swe nazwisko. Odtąd przez trzy pokolenia podpisywać się oni będą Benesz de Berzeviczy z dodatkiem polskiego baronowskiego tytułu de Dondangen, aż dopiero Antonio, pierwszy w tym rodzie, zarzuca nazwisko Berzeviczy baron de Dondangen, a zadowala się samym nazwiskiem Benesz.

Otóż w historii tej tkwią dwie niejasności, których na razie nie potrafimy wytłumaczyć. Po pierwsze: kim była właściwie Barbara Benesz de Krawasz? Niewątpliwie musiała być szlachcianką, bo niemożliwe jest, aby w połowie XVII w. przedstawi-

ciel tak starożytnego rodu jak Berzeviczych ożenił się z kobietą innego stanu. A tymczasem wedle najnowszego i drobiazgowo opracowanego dzieła Pilnacka¹⁷, jedyni Beneszowie szlachta wymierają w w. XIV. Istnieje co prawda rodzina morawska, która coś z imieniem Benesz ma wspólnego, ale ci noszą nazwisko Studnický tylko z dodatkiem „z Benesova” i o nich zresztą też głucho po XVI w. O Beneszach de Krawasz nie ma tam ani słowa. Dodać należy, że po klęsce pod Białą Górą niemal doszczętnie wyginęła szlachta czesko-morawska, wobec czego nieliczne rodziny, które przetrwały, są dokładnie znane i szczegółowo opisane. Autor jest nawet tak dokładny, że zajmuje się starymi i wybitnymi rodami mieszczańskimi, doprowadzając ich historię do XX w., ale i wśród nich brak Beneszów.

Jeśli więc Barbara Benesz posłała nawet szlachectwo, musiała pochodzić z rodu zupełnie nieznanego. Dziwne więc się wydaje, że Berzeviczy'owie, należący do najstarszej arystokracji Węgier, których ród już w XIII w. stanowiął podporę korony, przybrali do swego nazwiska tak nie znaczące miano jak Benesz. Jeszcze bardziej niepokojący staje się fakt, że Antonio, którego przybrany ojciec podpisywał się jeszcze pleno titulo, porzuca nazwisko rodowe, ograniczając się do samego Benesza. Dzieje się to gdzieś z początkiem XIX w., kiedy — jak wiemy — szlachectwo było jeszcze sprawą nader istotną, a dobrowolne jego wyrzeczenie zdaje się zupełnie nieprawdopodobne.

Pozostaje nam jeszcze ostatnia możliwość natrafienia na ślady tajemniczej linii Berzeviczych i epilogu powstań indiańskich. Szukajmy ich w Niedzicy¹⁸.

Zamek niedzicki istotnie zbudowali Berzeviczy'owie — pierwsza wzmianka o nim pochodzi z r. 1325. Nazywa się wtedy Dunajecz (Dunajec), którą to nazwę przez wiele wieków zachowuje. W r. 1470 Berzeviczy'owie tracą zamek bezpowrotnie i nigdy już go nie odzyskują. W czasie kiedy więc tutaj przebywa Sebastian, zamek od przeszło trzystu lat jest w rękach innych rodów.

Wydarzenia niedzickie nie pozostawiły żadnego śladu w archiwum parafialnym Niedzicy. Nie ma tam wymienionego ani razu nazwiska Berzeviczy, nie ma też śladu po śmierci i pogrzebie Uminy. Zastanawiający wydaje się również fakt pochowania Uminy pod basztą kapliczną, zwłaszcza że właściciele zamku posiadali własną kryptę pod kościołem, gdzie chowano zarówno ich, jak i zmarłych członków rodziny Joanelich, którzy w tym mniej więcej czasie trzymają zamek wraz z okolicznymi wsiami tytułem zastawu. Ponadto wtedy już obowiązywał zakaz

chowania zmarłych poza obszarem kościołów i cmentarzy.

Piwnice pod basztą kapliczną w Niedzicy zostały już za Paloczayów zamurowane i odtąd nikt ich nie odwiedzał: Salamonom, którzy przecież po kądzieli wywodzili się od Paloczayów (a więc tradycja rodowa nie została zerwana) nic o trumnie Uminy nie było wiadomo. Czy spoczywa ona w podziemiach zamkowych, mogą wyjaśnić tylko prace konserwatorskie, które w tym roku mają być prowadzone na wielką skalę.

Po naszej, pobieżnej zresztą, analizie dokumentów i wypadków nie możemy ostatecznie wykluczyć prawdziwości legendy niedzickiej albo przynajmniej jej części, nie mamy też jednak żadnych podstaw, by uważać ją za prawdę. Nie mamy w ręku ani jednego pewnego dokumentu i ani jednej pewnej relacji. Każdy wątek opowiadania rwie się nam w rękach. Dokumenty gdzieś

przepadły, świadkowie nie żyją, opracowania historyczne nic na ten temat nie mówią. Nawet w archiwum rodzinnym Beneszów nie ma śladów całej tej amerykańskiej awantury¹⁰.

Legenda niedzicka pełna jest uroku i fantazji i nie ma powodu jej rozwiewać. Jak owa tajemnicza biała dama wędrująca przy blasku księżyca po murach górnego zamku, tak dziś quipu i dzieje nieszczęśliwej Uminy spoczywającej gdzieś w lochach w srebrnej trumnie, stały się atrakcją dla licznych rzesz turystów zwiedzających Niedzicę. I czyż nie jest ciekawe, że bodaj najbardziej romantyczna, w każdym razie najbardziej egzotyczna z polskich legend powstała na naszych oczach, że niejako asystowaliśmy przy jej narodzinach?

Niewątpliwie o „skarbie Inków” będzie się jeszcze sporo pisało, poznałam sobie więc tylko wystąpić

z pewną prośbą do osób zamierzających w przyszłości zabrać głos w tej sprawie. Dopóki nie znajdzie się oryginał dokumentu adoptacyjnego i quipu, dopóki nie wyjaśni się jeszcze wiele, wiele zawiłych spraw, niech nie umieszczają w nagłówkach swych artykułów kategorię stwierdzenia: „historia ta jest prawdziwa.”

PRZYPISY:

¹⁰ Inkowie posiadali liczne haremy. Wszystkie dzieci jednego Inki z jego żoną i nałożnicami tworzyły jedno ayllu, czyli wspólnotę rodowo-terytorialno-majątkową. W chwili przybycia Hiszpanów było 11 królewskich ayllów. W r. 1603, po masakrach, wojnach domowych i epidemiach ospy żyło jeszcze, wedle ówczesnych spisów, 567 męskich potomków Inków. W wieku XVIII, przy wzroście dobrobytu i samodzielności Indian, mogło ich być co najmniej tyleż.

Powyższe dane podaje za: J. H. Rowe, *Inca culture at the time of the Spanish conquest*. Handbook of S. A. Indians, vol. 2. Washington 1946.

¹¹ Porównaj: G. Kubler, *The Quechua in the colonial world*. Handbook of S. A. Indians, vol. 2. Washington 1946.

¹² Kasper Niesiecki, *Herbarz polski*. Lipsk 1839. Adam Boniecki, *Herbarz polski*. Warszawa 1899. Seweryn Uruski, *Rodzina, herbarz szlachty polskiej*. Warszawa 1904.

¹³ Biographisches Lexicon des Kaiserthums Oesterreich enthaltend die Lebensskizzen der denkwürdigen Personen, welche 1750 bis 1850 im Kaiserstaate und in seinen Kronländern gelebt haben, von Dr Constant v. Wurzbach. t. I. Wien 1856.

¹⁴ Powyższe dane cytuję wedle załączonej do papierów złożonych w Urzędzie Konserwatorskim ręcznie spisanej na kawałku papieru genealogii Berzeviczych, oraz informacji Andrzeja Benesza.

¹⁵ Josef Pilnacek — *Staromoravski rodove*. Wiedeń. 1930.

¹⁶ Dane historyczne o zamku niedzickim — patrz: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. Warszawa 1886. t. VII (o Niedzicy s. 59—63).

¹⁷ Wiadomość od Andrzeja Benesza.

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ

COMING EVENTS IN BRITAIN

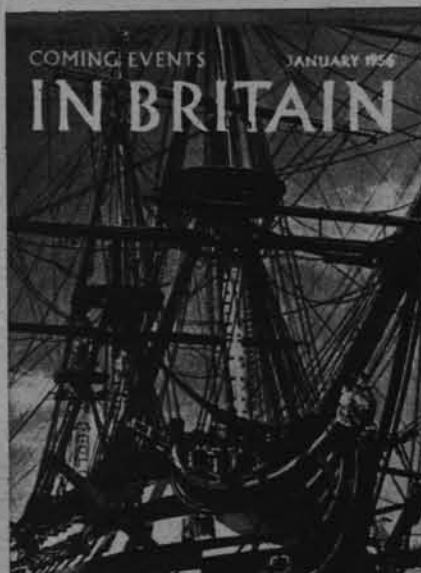
Dwieście lat temu grasował na angielskich drogach słynny Dick Turpin. Pod groźbą pistoletu zatrzymywał dyliżanse pocztowe rabując podróżnych. Stawa jego sięgała daleko. Zнали go dobrze właściciele stacji pocztowych. Jeszcze dziś podróżnym, którzy zatrzymują się w gospodzie Jerzego w Huntingdon pokazuje się przez niewielki otwór w ścianie wnętrza alkowy. W głębi wisi czarny kapeluszyk stosowany i fałdzisty czerwony płaszcz. To pamiątki po słynnym rozbójniku.

Tej ciekawostki wraz z szeregiem innych informacji dotyczących tradycyjnych gospód brytyjskich dostarcza nam październikowy numer „Coming Events in Britain”, ilustrowanego miesięcznika wydawanego przez „British Travel and Holidays Association”¹.

„We wszystkich dobrych powieściach roi się o gospód” — miał się wyrazić kiedyś pewien znany krytyk literacki. I rzeczywiście — jak pisze „Coming Events” — gospody były ulubionymi miejscami, w których słynni pisarze angielscy lokowali sceny swych powieści. Spośród nich warto wspomnieć choćby Dickensa, który tak doskonale oddał przytulną i gościnną atmosferę starej angielskiej gospody, że dziś po prostu określa się ją mianem „dickensowskiej”. Ale bo też gospody od XIII wieku po dzień dzisiejszy niezwykle silnie zrosły się z psychiką społeczeństwa brytyjskiego. Gospoda angielska to nie tylko hotel i restauracja. To również miejsce spotkań towarzyskich gier i zabaw. To wreszcie centrum życia społecznego i politycznego prowincji.

Gospody brytyjskie szczycą się swymi dawnymi tradycjami i trzeba przyznać, że są to tradycje naprawdę imponujące. Taka na przykład gospoda w Nottingham, zwana „Drogą do Jeruzolimy”, służy już podróżnym od 750 lat! Tu, w tej starej oberży wykutej częściowo w litej skale, na której szczycie wznosi się zamek Nottingham, zbierali się niegdyś krzyżowcy, ruszający do Ziemi świętej. Gospoda angielska już z dala

wyróżnia się barwnym, pomysłowym szyldem. Początki szyldów, podobnie jak i gospód, sięgają głębokiego średniowiecza, kiedy rzadko kto umiał czytać. Do ówczesnego klienta przemówić mógł więc tylko atrakcyjny obrazek szyldu. Mnożyły się tedy szyldy przedstawiające anioły i smoki, lwy i jednorożce, odyńce i ptaki. Dziś, dzięki przywiązaniu do tradycji, liczba kolorowych szyldów



nie tylko nie zmniejsza się, ale przeciwnie — z każdym rokiem wzrasta. Wykonywanie ich zaś niejednokrotnie powierza się nawet wybitnym artystom.

Zanim wzgardzisz skromnym wnętrzem gospody, spójrz na jadalnię — radzi na koniec „Coming Events”. Gospody brytyjskie bowiem starają się reprezentować lokalne odmiany potraw i napojów.

„Coming Events” propaguje turystykę i krajoznawstwo we wszelkich postaciach. „Zwiedzaj Anglię króla Artura we własnym samochodzie!”

„Po raz pierwszy zwiedzaj Anglię — koleją”, nawołują na jego łamach liczne reklamy. Miesięcznik stara się zachęcić turystę do zwiedzenia rozmaitych okolic Wysp Brytyjskich, informując go wyczerpująco o tym, w jaki sposób może się tam dostać i gdzie się może zatrzymać. Przede wszystkim jednak pismo stara się zaciekać turystę pięknem danych okolic i wiążącymi się z nimi tradycjami. Tradycji tych dostarcza historia i literatura. O ilez bardziej przemówią do turysty pustkowie Highlandu, kiedy uświadomi sobie, że tu właśnie ukrywali się przed pościgiem bohaterowie powieści Stevensona „Porwany za młodu”.

Wachlarz zresztą zainteresowań miesięcznika „Coming Events” jest bardzo bogaty. Obok opisów zamków i kościołków mamy artykuł o londyńskich licytatorach, dawnych i dzisiejszych, o walijskim rzemiośle pa-



miątkarskim, o domu poety Milтона, o legendach z północnej Irlandii, o dorocznych londyńskich defiladach koni pociagowych, a wreszcie o szkockiej wódce Drambuie. Receptę wyrobu tej wódki podać miał przed umknięciem do Francji nieszczęsny przywódca powstania Szkotów, książę Karol Stuart.

Jeśli trzeba, pismo potrafi wystąpić w obronie tradycji, nieraz śmiesznej, lecz milej i zgoda nieszkodliwej. I tak np. w lipcowym numerze sam redaktor naczelny broni dawnego zwyczaju nadawania specjalnych



nazw pociągów kursujących na poszczególnych liniach. Broni tych wszystkich „Latających Szkotów”, „Czerwonych Smoków”, i na zakończenie żartobliwie ostrzega, że jeśli koleje brytyjskie skasują te szumne i tak mile dla podróżnych nazwy, to... „zaczniemy jeździć samochodami”.

Wszystkie artykuły „Coming Events” cechuje staranne opracowanie, bezpretensjonalność i niesłychanie miłe, subtelne poczucie humoru. Dodajmy do tego, że pismo wydawane na luksusowym kredowym papierze, rozporządza doskonałymi kolorowymi zdjęciami. Jego układ graficzny jest przy prostocie środków nowoczesny i estetyczny.

Ciekawa rzecz, że Anglia, kraj — zdawałoby się na pozór — tak silnie zurbanizowany i wobec tego w gruncie rzeczy pod względem krajoznawczym może nieciekawym, został na łamach „Coming Events” przedstawiony jako krajina naprawdę uroczych zakątków. Anglia z „Coming Events” to Anglia, o której mało wiemy z podręczników, prasy i filmu. Przedstawienie w ten sposób kraju nie było zapewne rzeczą łatwą. O ilez łatwiej byłoby to zrobić choćby u nas, w kraju chyba o wiele bardziej „egzotycznym”, w kraju, którego wsie i miasteczka kryją w sobie istne kopalnie niezwykłych wprost i nie znanych szerszemu ogółowi tematów krajoznawczych. Oczywiście trzeba by to zrobić umiejętnie. (L. Z.)

¹ Brytyjskie Towarzystwo Podróży i Wczasów.

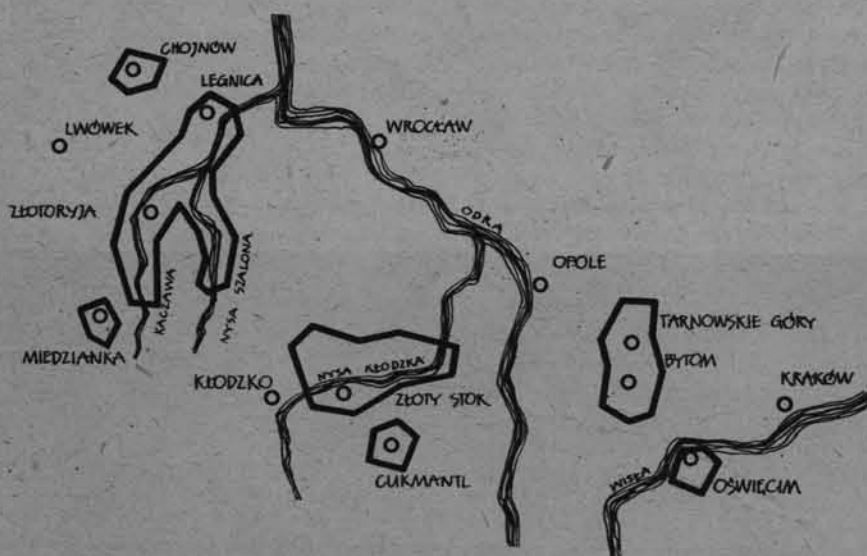
DAWNE KOPALNIE ZŁOTA NA ŚLĄSKU

Tradycje górnictwa na Górnym Śląsku sięgają czasów bardzo zamierz- chłych. Jak świadczą wykopaliska, nad górną Odrą rudę żelazną wydobywano już w III w. przed n. e. i przetapiano ją w prymitywnych dymarkach. Oprócz tego eksploatowano na tych terenach złoża granitu, soli i rudy miedzianej. Silnie rozwinięte górnictwo i hutnic- two dostarczało wyrobów metalowych i kamiennych nie tylko na użytek ryn- ku wewnętrznego, ale także na eksport.

Oprócz surowców zaspokajających codzienne potrzeby ludności wydobywa- no na Śląsku — o czym mało kto dziś już wie — złoto. Cenny ten metal, jak twierdzą archeologowie, wydobywano u nas co najmniej już od VI wieku n. e., to jest na długo przed przyjściem na te tereny kolonistów niemieckich. Pierwsza jednak notatka archiwalna na ten temat pochodzi dopiero z XII wie- ku. Wiek XIII przynosi nam częste wzmianki o eksploatacji złóż złotono- snych w Złotoryi i w najbliższych jej okolicach.

Czternastowieczne zapiski mówią o ko- palniach w Legnicy, Chojnowie, w Mi- kołajowicach, Strachowicach i w Księ- stwie Kłodzkim, gdzie głównym ośrod- kiem był Złoty Stok, a poszukiwania sięgały na wschód aż pod Opole. Wy- dobywano też złoto w okolicach Mie- dzianki, Tarnowskich Gór i Bytomia, a także w Księstwie Oświęcimskim. Największymi ośrodkami na Dolnym Śląsku były Złotoryja i Złoty Stok, a na Śląsku Opawskim stare i bogate kopalnie w Cukmantlu.

Tereny złotodajne na Dolnym Śląsku



Złoto występowało bądź jako piasek w łóżyskach rzek Kaczawy i Nysy Szalonej, bądź jako złoża rodzimego kruszcu. Kopalnie złota, tak jak i cała ziemia, były własnością księcia. Z cza- sem jednak, kiedy wyczerpano naj- płytsze pokłady i dalsza eksploatacja wymagała wysoko wykwalifikowanych fachowców oraz nakładów pieniężnych, co często było połączone z niemalym ryzykiem, książęta zaczynają nadawać

prawo kopania złota feudałom świec- kim i duchownym, a także mieszcz- nom. Ci ostatni zwłaszcza w XIII wie- ku szczególnie mocno interesują się ko- palniami złota i chętnie lokują w nich swoje kapitały. Obok bogatych kupców i rzemieślników z Wrocławia, Świdnicy czy Krakowa, spotykamy tu również mieszczan obcych, głównie Niemców i Czechów. W tym to czasie powstają specjalne stowarzyszenia górnicze, tak zwane gwarectwa. Poszczególnym sto- warzyszeniom nadawano prawa górni- cze, które ustalały metody pracy, wy- nagrodzenie oraz zakres praw i obo- wiązków górnika.

Wówczas kiedy robotnikami w kopa- niach byli Polacy, rekrutujący się spo- śród miejscowych chłopów, stanowiska majstrów zajmowali przeważnie cudzo- ziemcy. Posiadali oni niejednokrotnie bardzo wysokie kwalifikacje, umożli- wiające eksploatację głębiej położo- nych złóż.

Szyby kopalniane osiągały nieraz za- dziwiająco, jak na ówczesną technikę, głębokość przeszło stu metrów, przy szerokości niewiele ponad metr. Dłu- gość chodników i sztolni dochodziła zaś, jak na przykład w sztolni św. Ja- kuba w Tarnowskich Górach, do 2400 metrów. Górnicy zjeżdżali do kopalni w wiadrach, w których potem wydoby- wano urobek. Złotonosną skalę, po wy- ciągnięciu na powierzchnię ziemi mie- lono w specjalnych młynach, porusza- nych wodą, a następnie płukano w dłu- gich drewnianych korytach, gdzie złoto, jako cięższe, osiadało na dnie.

Największym wrogiem górników by- ła woda, zalewająca podziemne chod- niki. Odprowadzano ją specjalnymi sztolniami lub też wypompowywano. W XVI wieku budowano już pompy poruszane siłą koni, które pompowały wodę na wysokość 30 metrów. Były one czynne bez przerwy dzień i noc. W razie jednak jakiejś awarii unie- ruchamiającej je na pewien przeciąg czasu, woda zalewała kopalnię, powo-

dując przy tym niejednokrotnie śmierć ludzi pracujących na dole. Dlatego też prawa górnicze przewidywały ogromne kary dla robotników opuszczających swe stanowiska pracy, co w niektórych wypadkach mogło spowodować kata- strofę w kopalni. Wszelkie zamieszki i bunt, kiedy górnicy i hutnicy maso- wo porzucali pracę, powodowały unie- ruchomienie całych okręgów na długi okres, nie zawsze bowiem udawało się prędko naprawiać szkody wyrządzone przez wodę.

W XVI wieku często zdarzają się rozruchy wśród biedoty robotniczej. Warunki pracy w kopalniach były nie tylko bardzo uciążliwe, ale pociągały za sobą często śmierć lub kalectwo. Dla ofiar wypadku tworzono, co prawda, kasy zapomogowe, których fundusze urastały ze składek zbieranych wśród górników, najczęściej jednak przecie- kały one do kieszeni starszyny i urzęd- ników im tylko znanych drogami.

Wiek XVI jest okresem, kiedy ko- palnictwo złota chyli się do upadku, by wreszcie w następnym stuleciu za- niknąć zupełnie. Powodem tego było z jednej strony wyczerpanie bogatszych

złóż kruszcu, z drugiej zaś — napływ coraz większych ilości złota z Nowego Świata.

Trudno dzisiaj ustalić, ile tego cen- nego metalu wydobywano w dolno-ślą- skich kopalniach. Jak podają szesna- stowieczne zapiski, w Złotym Stoku wydobywano 10 kg kruszcu rocznie (0,21 grama ze 100 kg urobku), w Księ- stwie Legnickim zaś 120 grzywien ty- godniowo. Dane te wydają się jednak przesadzone. Analiza geologiczna wy- kazuje, że kopalnie w Złotoryi do chwili ich zamknięcia w XVII wieku dały ogółem około 750 kg czystego kruszcu. Wielki ten ośrodek eksploa- tacji złóż złotonosnych zawdzięcza swój wspaniały rozkwit bogactwom ukrytym w okolicznych skałach i w korycie Ka- czawy oraz położeniu na wielkim szlaku handlowym, biegnącym na wschód przez Lwówkę, Legnicę i Wrocław.

Dziś Złotoryja jest niewielkim mia- stem, bardzo zniszczonym w czasie ostatniej wojny. Jedynie zachowane do naszych czasów zabytki architektury świadczą o bujności tętniącego tu nie- gdyś życia.

MIG

W roku bieżącym przypada pięć- dziesiąta rocznica założenia Polskie- go Towarzystwa Krajoznawczego, którego pierwsze zebranie statutowe odbyło się 3 grudnia 1906 roku w sali odczytowej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na Krakowskim Przed- mieściu w Warszawie. Styczniowy numer „Ziemi” przyniesie artykuł informujący o działalności tej wybit- nie zasłużonej organizacji społecznej.



Szczególnie interesujący był list z oddziału gliwickiego PTTK in- formujący o zamiarze zorganizowania śląskiego kwartalnika krajoznawczo- turystycznego. Ilustrowane to pismo otrzymywać będą bezpłatnie wszyscy członkowie oddziału.

Warto zaznaczyć, że krajoznawcze wydawnictwa regionalne ukazują się ostatnio w coraz większej liczbie w Czechosłowacji, a w Niemieckiej Republice Demokratycznej (na 17 mln mieszkańców) wychodzą obecnie 204 czasopisma krajoznawcze, przy czym centralny miesięcznik (Natur und Heimat) ukazuje się w nakładzie 57 tys. egzemplarzy.

REGIONALNE WYDAWNICTWA PTTK

Wiadomości nadchodzące ostatnio do redakcji pozwalają przypuszczać, że inicjatywa wydawnicza terenowych ogniw PTTK rozwija się coraz lepiej. Z Białegostoku, Krakowa, Poznania i Wrocławia otrzymaliśmy od tamte- szych okręgów i oddziałów egzempla- rze recenzyjne map, przewodników i innych regionalnych wydawnictw krajoznawczych. Omówimy je w na- stępnym numerze.

ODKRYCIE W BOCHNI

Prof. Stanisław Warcholik nadesłał nam następującą wiadomość:

Niedawno natrafiono przypadkowo w Bochni na miejsce spoczynku gło- snego reformatora, Szymona Zacjusza, magistra nauk wyzwolonych Akade- mii Krakowskiej. Działał on w latach 1540—1570 w Krakowie, na Litwie a następnie także i w Bochni, gdzie kazała swe wygłaszać w gospodzie żupy solnej, mniej więcej w tym miejscu, gdzie dziś mieści się zarząd żupy. Cieszył się on poparciem mieszczaństwa i urzędników, dysputy organizowane przez niego w domu żupnika Burzyńskiego miały duże powodzenie. Gdy władze kościelne usunęły Zacjusza z probostwa, wójt bocheński i dziedzic miasta, Mikołaj

Cikowski wraz z radą miejską ofia- rowali mu zagrodę z ogrodem tuż przy bramie Krakowskiej. Tu Zacjusz żył, pracował i umarł, tu pochowano jego zwłoki. Ich autentyczność stwierdzono na podstawie dokumen- tów, przechowywanych w archiwum powiatowym. Dzięki staraniom prof. Warcholika i wydatnej pomocy p. Mariana Puzia, Miejska Rada Na- rodowa postanowiła upamiętnić mie- sce pracy i spoczynku Zacjusza spe- cjalną tablicą.

* * *

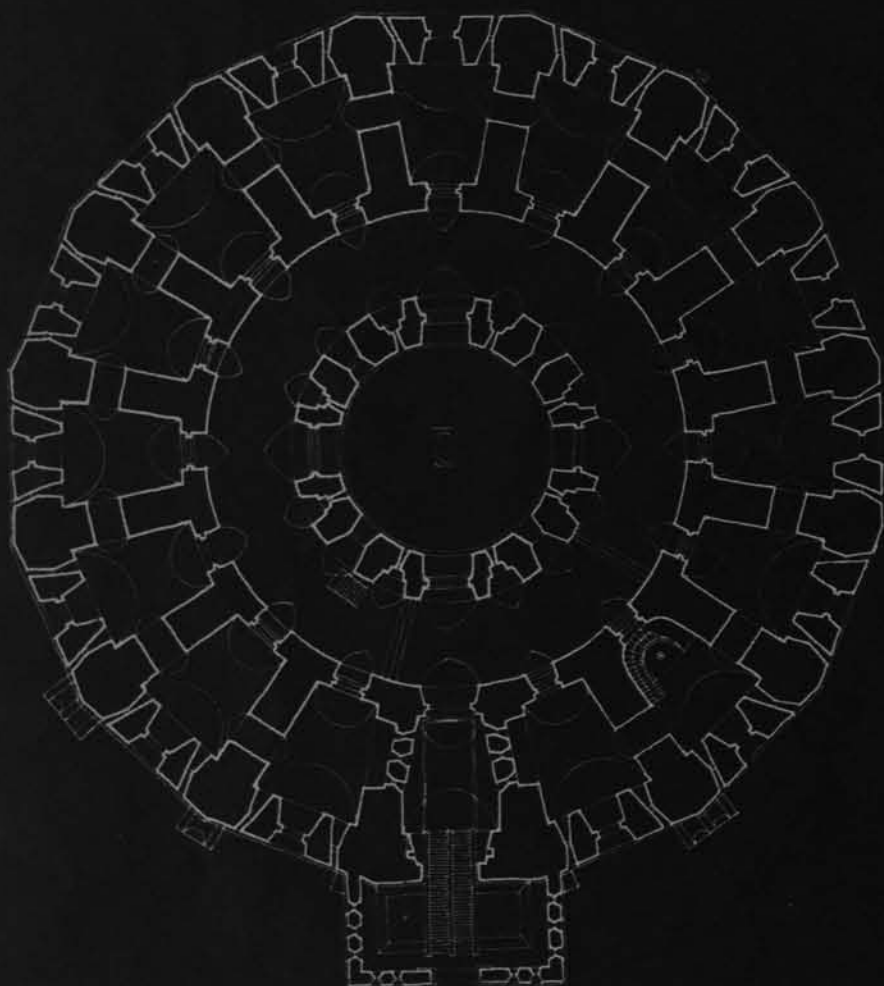
Fakt nawiązania współpracy przez prof. Warcholika jest dla nas nie- zwykłe cenny i przypisujemy mu nie- małe znaczenie symbolu. Prof. War- cholik reprezentuje bowiem pokole- nie najstarszych działaczy krajoznaw- czych. On to w roku 1910 organizo- wał na terenie Galicji kolportaż dawnej ZIEMI, wydawanej przez śro- dowisko warszawskie.

JANUSZ BOGDANOWSKI

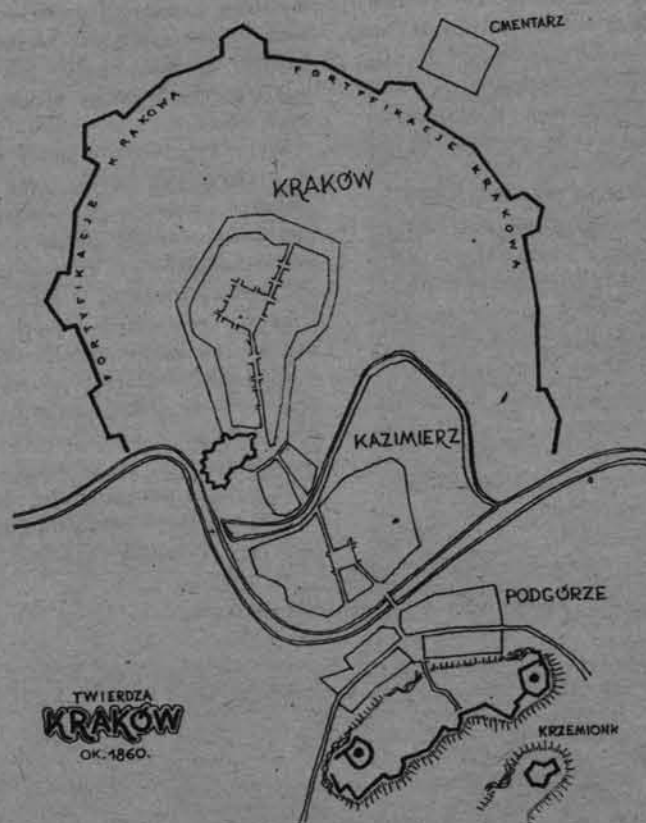
TWIERDZA KRZEMIONKI



- 1 Plan ogólny twierdzy Krzemionki
- 2 Fort św. Benedykta
- 3 Fort Krakus przed dewastacją
- 4 Twierdza Kraków ok. 1860 r.
- 5 Plan Rotundy w Zamościu
- 6 Klauza wg rysunku A. Dürera

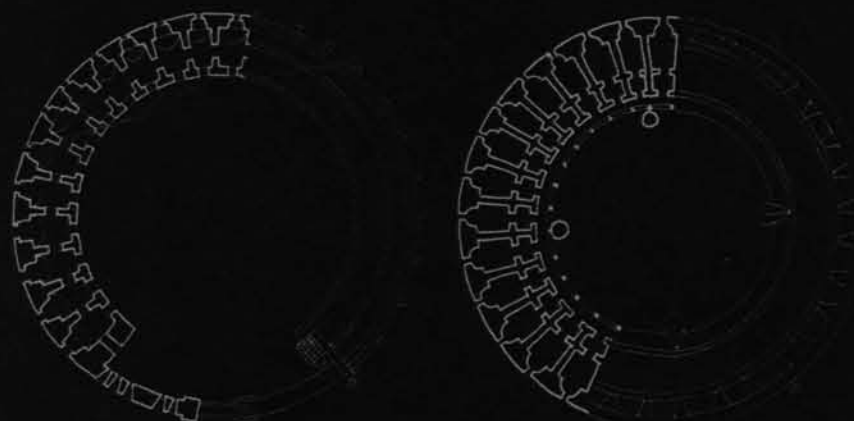
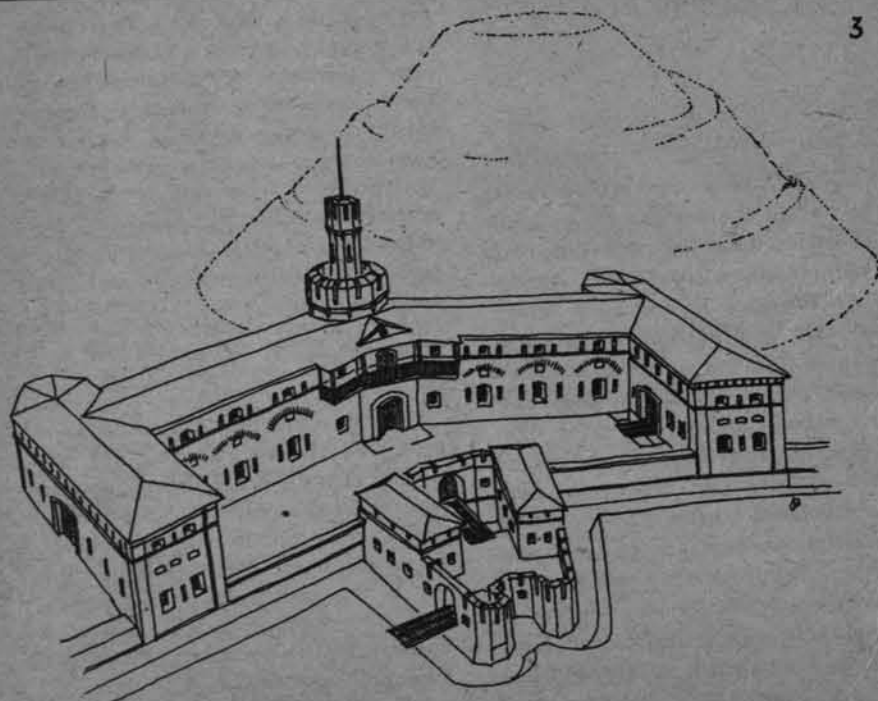


2



4

3



5

6

Ulicę Tarnowskiego w Krakowie na Podgórzu kończy pionowa wapienna ściana. Trzeba zadrzeć głowę do góry, żeby zobaczyć ceglane ściany potężnej baszty wieńczącej jej szczyt. To fort św. Benedykta, narożnik krzemionkowskiej twierdzy.

Patrzącemu spod Wawelu na południe, perspektywę Wisły kończy skaliste wzgórze opatrzone przysadzistą basztą. To fort Krzemionki, drugi narożnik twierdzy.

Ulica Dembowskiego dochodzi do szerokiego wału ziemnego. Za nim rozległy widok ze wzgórzem kopca Krakusa na pierwszym planie. Pod kopcem ruiny — to fort Krakus, trzeci narożnik twierdzy.

Tak przedstawia się stan dzisiejszy. A historia? Oto jej szkicowy zarys.

Krzemionki posiadały już umocnienia w średniowieczu. Ślad ich znany jest ze sztychu Meriana (pocz. XVII wieku) przedstawiającego niską basztę pod kopcem Krakusa.

Pod koniec XVIII wieku Konfederacja Barska i Insurekcja Kościuszkowska pozostawiły na Krzemionkach dwie fortyfikacje bastionowe.

Rok 1792. Austriacy zajmują Kraków. General-major Chasteler z uznaniem pisze o mieście. Miasto stare, solidnej budowy, ulice proste i szerokie, ale fortyfikacje w gruzach. Toteż w sześć lat później proponuje w trzech wariantach założenie twierdzy, lecz nie może się zdecydować, co zrobić z Krzemionkami. Niejasno zdaje sobie sprawę, że jest to klucz do Krakowa. Raz próbuje zaprojektować potężną twierdzę na Kazimierzu zwróconą specjalnie przeciw Krzemionkom, to znowu nie liczy się z nimi zupełnie albo próbuje je dość sztucznie podłączyć do obwodu twierdzy krakowskiej.

Trzeciego maja 1813 roku zajmują Kraków wojska polskie. Dowódca ich, ks. Józef Poniatowski, zakłada obóz warowny właśnie na Krzemionkach. Już jasno rysuje się myśl: Krzemionki są kluczem do Krakowa, kto je ma — ma Kraków.

Rok 1846—8, Wiosna Ludów i upadek Rzeczypospolitej Krakowskiej. Miasto znowu przechodzi w ręce Austriaków. Tym razem znajduje się ono w ważnym strategicznym punkcie, na drodze do cesarstwa.

*

Wiedza o historii fortyfikacji jest u nas bardzo słabo rozpowszechniona. Leżąc na peryferiach zainteresowań: historii sztuki, architektury, wojskowości i inżynierii, nie znalazła w języku polskim, prócz paru prób, żadnego opracowania. Toteż nic dziwnego, że obiekty tego typu na ogół nie znajdują się w sferze zainteresowań naukowców. Jeszcze umocnienia średniowieczne mają pewną popularność, ale od wieku XVI, gdy fortyfikacja stanęła na granicy architektury i inżynierii, historycy sztuki i architekci uznali ją za rzecz należącą do historii inżynierii, a inżynierowie — za część historii sztuki wojskowej. Na skutek tego zagadnienie, zepchnięte w nie określone miejsce, znalazło się w zapomnieniu na peryferiach nauk historycznych.

Nic też dziwnego, że twierdza krakowska w okresie od XVI do końca XIX wieku nie ma żadnego opracowania, a jedyna próba podjęta przez Niemca Rodlera obejmuje

koniec XVIII i pierwszą połowę XIX wieku.

Niniejsze opracowanie nawiązuje do okresu budowy pierwszej twierdzy krakowskiej przez Austriaków, a więc do lat 1849/53.

*

D. 12 kwietnia 1850 roku wychodzi zalecenie cesarskie o budowie twierdzy krakowskiej. Prace nad jej budową zaczęto już niemal rok wcześniej, a postać, jaką ona w tym czasie już zaczyna przybierać, nawiązuje do stosowanego wówczas „systemu nowopruskiego”. Gdybyśmy wtedy mieli niezależny byt narodowy, budowalibyśmy według tego samego systemu, gdyż fortyfikacja wiąże się nierozdzielnie z techniką prowadzenia wojny, a co za tym idzie, w swej zasadzie jest kosmopolityczna. „System nowopruski” w długim korowodzie systemów tzw. „szkoły bastionowej”, zapoczątkowanej w końcu XV wieku przez „system starołoski”, zajmuje ostatnie miejsce. Na nim kończy się „szkoła bastionowa”. Był to okres w historii fortyfikacji, w którym głównym elementem obrony był bastion, podobnie jak w średniowieczu baszta. Bastion, ogólnie mówiąc to pięcioboczny narożnik fortyfikacji, zwykle usypany z ziemi, połączony z następnym bastionem wałem ziemnym zamiast muru. „System nowopruski” opierał się na zasadzie Montalamberta, Francuza, który głosił idee tzw. „twierdz-szkieletów”, tzn. ustawiania samych bastionów bez wałów łączących je, tak zwanych „kurtyn”. Miasto otoczone ową fortyfikacją wyglądało mniej więcej tak, jakby w średniowiecznym zamku wyburzono mury i zostawiono same baszty. Na tej właśnie zasadzie zbudowano pierwszą twierdzę krakowską.

W 1849 roku ukazało się Obwieszczenie Rady Administracyjnej Okręgu Krakowskiego, zapowiadające, że na Podgórzu będzie praca dla 800 ludzi przy fortyfikacjach, z dniówką stosunkowo wysoką. Roboty te zaczęły się dnia 9 lipca, dla zamieszkanych zorganizowano noclegi w barakach. Dyrekcja robót mieściła się na Kanoniczej nr 169, a pracą kierował por. Michałowski. W ciągu lata usypano wały wokół kopca Krakusa, a prócz tego prowadzono prace także i w innych punktach miasta.

Twierdza w 1853 roku składała się już z sześciu fortów: fortu pod kopcem Kościuszki, tzw. lunet przy szosie warszawskiej (do dziś istniejący fort u zbiegu ulic 29 listopada i Kamiennej) i na Grzegórkach (nie istniejący dziś fort w miejscu obecnej rzeźni) oraz twierdzy krzemionkowskiej, składającej się z trzech fortów wraz z obwałowaniem.

Umiejscowienie tak silnych fortyfikacji na Krzemionkach od razu zwraca uwagę. Szkielet obrony stanowią tutaj: fort św. Benedykta na wschodnim końcu wzgórza i fort Krzemionki na zachodnim. Forty połączone były ze sobą usypanym na południowej krawędzi wzgórza wałem ziemnym, wzmocnionym bastionami. Pod kopcem Krakusa, wysuniętym daleko w przód, od strony skąd mógł nadejść nieprzyjaciół znajdował się silny fort zewnętrzny Krakus, oddzielony od tamtych głęboką doliną.

Panując wysokością nad Krakowem stanowiły Krzemionki klucz do całej krakowskiej twierdzy, a nad nimi z kolei panowało wzgórze z kopcem Krakusa. Tym sposobem fort Krakus był kluczem do Krzemionek. Z czasem wzniesiono jeszcze dodatkowe umocnienia zewnętrzne u stóp wzgórza, na którym stał kopiec.

Chcąc zdobyć ten fort, atakować go można było tylko od południa, gdyż od północy broniły go dodatkowo działa Krzemionek. Gdyby go jednak zdobyto, nie mógłby on służyć nieprzyjacielowi, ponieważ od tyłu (od północy) miał najsłabsze umocnienia, które ogniem dział z fortu św. Benedykta mogły być stosunkowo łatwo zniszczone. Nieprzyjaciół więc niewiele zyskując, a straciwszy wiele sił stawał wobec nie naruszonej właściwej fortyfikacji. Jeżeli atakując dalej zdobyłby wał i bastiony, to stanąłby przed szaniami samych fortów pod krzyżowym ogniem ich dział. Po zdobyciu szaniców pozostawały jeszcze same forty.

Wał na południowej krawędzi Krzemionek posiadał trzy bastiony. Szerokość wału wynosiła u góry ok. 4 metry, a wysokość od wewnętrznej strony od 1,8 do 5 m. Oczywiście od zewnątrz względna wysokość była znacznie większa, gdyż dochodziła do niej głębokość trzymetrowej fosy, kutej w skałę. Przed fosą znajdował się jeszcze szaniec zewnętrzny, z francuska zwany „glacis”, osłaniający właściwy wał od bezpośredniego ognia artylerii nieprzyjaciela.

Warto zwrócić specjalną uwagę na doskonale dostosowany do warunków terenowych plan tej fortyfikacji. Została ona dosunięta do samej krawędzi wzgórza, co w sposób naturalny podniosło wysokość wału i powiększyło równocześnie objętość twierdzy. Stało się to przyczyną użycia silnie spleczonych bastionów IX i X, tzw. „hiszpańskich”. Bastiony o takiej samej formie zastosował nieznanemu inżynierowi w fortyfikacjach Warszawy za Zygmunta III i w zamku w Brodach. Dziś bastiony hiszpańskie są taką rzadkością na terenie Polski, że oprócz bastionu X pod fortem Krzemionki oglądać możemy tylko jeden przykład — wschodni bastion zamku w Czemiernikach na Lubelszczyźnie.

Dalszą osobliwością twierdzy krzemionkowskiej jest zastosowanie kurtyny (wału między bastionami) nie w formie prostej, lecz załamanej. W ten sposób kurtyny tworzyły system „kleszczy” albo z francuska „tenali”, lepiej nadających się do obrony niż zwykłe kurtyny, gdyż dających możliwość prowadzenia ognia krzyżowego nie tylko z bastionów, ale i z kurtyn. Jest to bardzo rzadka forma fortyfikacji. Kleszcze, zbudowane w końcu XVIII wieku, ale bez bastionów, widzimy w obwarowaniach Wawelu od strony Wisły, kleszcze zaś z bastionami, a więc takie jak na Krzemionkach, zachowały się jeszcze tylko w XVI-wiecznych obwarowaniach klasztoru karmelitów w Wiśniczu i w XVII-wiecznej twierdzy w Dankowie koło Częstochowy.

Godny uwagi jest fakt, że prawdopodobnie twierdza krzemionkowska jest w swym planie rozwinięciem dawnego obozu warownego wojsk polskich ks. Józefa z 1813 roku.

Dwa forty znajdujące się za „kle-

szczami” były niemal jednakie. Oba w kształcie niskich, piętrowych, okrągłych baszt z dziedzińcami pośrodku, otoczone szaniami glacis. Skąd wzięła się ich osobliwa kolistą formą? Otóż wywodzi się ona w prostej linii od wczesnorenansowych rondli, takich jak np. krakowski Barbakan. Zasada formowania jest ta sama. Okrągły dziedziniec otoczony działobitniami, z których można było strzelać na wszystkie strony. Brama wjazdowa opatrzona była mostem zwodzonym, który do dziś zachował się w formie św. Benedykta. Służy on obecnie za podłogę w sieni wjazdowej, dawniej można go było wysuwać ponad zasypaną już dziś fosą. Nawet obronę podnóża murów w tych fortach rozwiązano podobnie jak w Barbakanie, za pomocą nadwieszonych machikułów — niewielkich balkonów bez podłogi. Naturalnie ewolucja od rondla do fortu św. Benedykta była długa i tzw. rondel musiał przejść szereg przemian. Wspomnę tu „klauzę”, czyli fort nadmorski wg projektu sławnego malarza a równocześnie teoretyka fortyfikacji A. Dürera, a z naszych zachowanych zabytków „Rotundę” w obwarowaniach Zamościa, niewiele już różniącą się od krzemionkowskich „baszt”. Podobne potężne mury ceglane, kolebkowe, opatrzone lunetami, wytrzymałe na uderzenia bomb sklepienia w działobitniach, ziemne szaniece na dachach, wreszcie okrągły dziedziniec pośrodku fortu. Forty na Krzemionkach otrzymały jeszcze romantyczny gotycki wystrój w postaci kolorowego portalu i kamieniarki. Surowa, o silnym wyrazie architektura, mroczne sklepienie korytarze przypominają żywo twierdze renesansu i baroku.

Pozostaje jeszcze do omówienia fort Krakus. Miał on inny charakter. Składał się z budynku i koszar obronnych, wału omurowanego, usypanego w kształcie sześcioboku wokół kopca, z dołączonym do niego kwadratem od wschodu. Koszary znajdowały się w styku tych figur geometrycznych od północy. Taki zarys wałów jest formą interesującą, ponieważ zwraca się ona do nieprzyjaciela to kleszczami, to rogami. Co drugie załamanie wału zaopatrzone było w bastie (rodzaj półkolistej baszty bez dachu) dla dział. Podwójne bramy umieszczzone przed koszarą obronnymi barbakanu posiadały zwodzone mosty.

Zarówno okrągłe forty — „wieże maksymiliańskie”, jak i fort Krakus zaliczyć trzeba do gatunku fortyfikacji górskiej. Mamy tylko jeszcze jeden przykład tego rodzaju umocnień w Polsce, mianowicie XVIII-wieczne fortyfikacje Srebrnej Góry na Dolnym Śląsku. Rozwiązanie ich jest jednak zupełnie inne. Tutaj bowiem nie liczono się z użyciem artylerii ciężkiej ze strony oblegających, a co najwyżej — artylerii polowej lub górskiej.

Zastosowanie pionowych, ceglanych ścian, machikułów, które świetnie nadawały się do obrony bliskiej i przeciw broni ręcznej, tłumaczy się poważnym niebezpieczeństwem, jakie

Dokończenie na stronie następnej

¹ Część materiałów historycznych uzyskałem od p. dra J. Demela

stanowiła możliwość nieoczekiwane- go napadu pod osłoną dogodnego te- renu. Dlatego też wszystkie te ele- menty nie były tylko częścią dekora- cją w stylu romantycznego gotyku, ale konkretnie użytecznymi elemen- tami obronnymi. Co więcej, forty Krzemionek krakowskich stały się prototypem masowo stosowanej póź- niej w latach 1860—80 fortyfikacji górskiej na terenie np. Hercegowiny, gdzie operowano mimo ogromnego rozwoju artylerii w dalszym ciągu niemal tymi samymi formami.

*

Cała twierdza Krzemionki po- wstała w latach 1849—52, liczy więc już 104 lata. W czasie swojego istnie- nia nigdy nie została użyta, a już w niespełna 20 lat po wybudowaniu straciła w znacznym stopniu swe mi- litarne znaczenie, w związku z prze- łomem, jaki się dokonał w dziedzinie artylerii i fortyfikacji.

Widzimy w niej ostatnie ogniwo fortyfikacji szkoły bastionowej, ope- rujące specjalnie interesującymi i rzadkimi formami. Mamy więc do czynienia z zabytkami sztuki wojen- nej. Usypanie wałów, wykucie fos, przystosowanie terenu, przeprowa- dzenie dróg i mostów pozwala zali- czyć całość do zabytków sztuki in- żynierskiej. Architektura o surowym wyrazie, skromnym romantycznym neogotyckim detalu, ciekawe wnę- trza, wreszcie czas budowy fortów — wskazuje, że mamy do czynienia z zabytkiem architektury obronnej. Należy tutaj przestrzec przed subiektywną postawą, podkreślającą austriackie pochodzenie tych forty- fikacji. Zabytki musimy oceniać nie ze strony wyłącznie emocjonalnej, ale przede wszystkim ze strony ich obiektywnej wartości historycznej. Nikt przecież dzisiaj nie będzie kwe- stionował wartości np. zamku w Mal- borku, ze względu na to, że został on wzniesiony przez Krzyżaków.

Lecz nie tylko pod względem za-

bytkowym forty św. Benedykta i Krzemionki mają znaczenie. Po- siadają one przecież ogromną ku- baturę wewnątrz, nadającą się dosko- nale do wykorzystania. Nie są to przecież podziemne kazamaty, ale naziemne budynki.

Można by więc sądzić, że zabytko- wa twierdza Krzemionki znajduje się pod należytą opieką i jest odpo- wiednio użytkowana. Niestety. Oto krótki bilans ostatnich lat:

W roku 1934, z racji badań nad kopcem Krakusa, nie wiadomo po co zniwelowali archeolodzy obwałowa- nia fortu Krakus. Około 1948 roku, w trakcie budowy stadionu Włókniar- za wyburzono nie tylko bastion IX i znaczne odcinki kleszczy-kurtyń, ale i resztki XVIII-wiecznych forty- fikacji. Około roku 1950 zniszczono spory odcinek kurtyny przy bastio- nie VIII w trakcie budowy przed- szkola. W roku 1954 mimo protestów prasy rozwalono fort Krakus, za- mieniając go w ruinę i ogromne gruzowisko. Nie kończąc tej roz- biórki, przedsiębiorstwo rozbiórkowe przerzuciło się na fort Krzemionki i zaczęło niemal nad głowami mies- kańców rozbierać go, nie wykonu- jąc nawet inwentaryzacji. Obecnie zagrożona niwelacją jest reszta kur- tyń i bark przy VIII bastionie.

Czy zniszczenia te były i są ko- nieczne? Bynajmniej. Wszystkie no- we budowle wzniesione na tym te- renie mogły powstać bez zniszczenia zabytkowych fortyfikacji.

Sądzę, że barbarzyńskie zniszcze- nia tego rodzaju trwać będą dopó- ty, dopóki o istnieniu zabytków sztuki fortyfikacyjnej decydować będą przedsiębiorstwa rozbiórkowe XIX czy XX wieku, a nie historycy i konserwatorzy. Najwyższy czas na to, aby akt prawny uznający twierdzę Krzemionki za zabytek powstrzymał dewastację tego obiektu jak i innych zabytków dawnej sztuki fortyfika- cyjnej w Krakowie i w ogóle w ca- łym kraju.

Istnieją wszelkie warunki po temu, aby w przyszłości cały teren daw- nej twierdzy Krzemionki, odzna- czający się przepięknymi widokami i dobrym klimatem, został wyzyskany

jako teren zielony dostępny dla wszy- stkich mieszkańców Krakowa. Wte- dy znalazłoby się miejsce i dla sta- rych fortyfikacji i dla współczesnego użytkowania.

↓ Tak wyglądał fort Krakus jeszcze przed rokiem



OSTATNIA MANUFATURA

Niejaki Feliks Żebrowski zjawił się we wsi Rozbity Kamień koło roku 1890, z niewielkim kapitałem w kieszeni. Fakt ten zapoczątkował szereg wydarzeń o dość dużym znaczeniu dla życia tej wsi a nawet szerszej okolicy. Ale nie uprzedzamy wypadków.

Więc Rozbity Kamień, zwana przez tubylców po prostu „Rozbicie“, leży na Podlasiu zachodnim. Okolica to piaszczysta latem, błotnista jesienią. Wzrok daleko biegnie po równinie, miejscami lekko tylko sfalowanej prze- strzeni pól. Wstrzymują go jedynie ciemnozielone zapory lasów.

Tereny północno-wschodniej Polski słynęły zawsze ze słabo rozwiniętej sie- ci dróg. Stanowiło to naturalną barierę między przemysłem a ewentualnym od- biorcą jego wytworów — chłopem. Zresztą przemysł przez długie lata nie wykazywał większego zainteresowania drobnymi potrzebami wsi na tych ob- szarach. Wobec tego miejscowe rzem- iosło, nie zagrożone konkurencją wielkiej wytwórczości, mogło się śmia- ło rozwijać. W takich warunkach po-

wstała manufaktura w „Rozbiciu“. Zacz- nijmy od początku.

Po uwłaszczeniu chłopów w 1864 r. powstało na Podlasiu szereg zamoż- nych gospodarstw. Wśród szybko wzbó- gaconej części chłopów zrodziła się chęć pewnej wystawności życiowej, jeśli nie na codzień, to przynajmniej od święta. Przejawiało się to między innymi i w doborze środków transportu. Dawniej wieśniacy używali także i do świątecz- nych wyjazdów swych codziennych, ro- bocznych wozów, zimą prostych sanek, zaledwie wymoszczonych sianem. Teraz zaś zamożny gospodarz w niedzielę na sumę hucznie zajeżdżał przed kościół bryczką zdobioną z miejska lub ma- lowanymi saniami. Z drugiej strony, wy- stępowała na Podlasiu licznie osiadła zaściankowa szlachta. Aczkolwiek schlo- piały, szlachcic na zagrodzie okazywał wyraźnie swą „wyższość“ w stosunku do chłopka-chleboroba i nie dawał mu się zakasować w niczym, co dotyczy należytej prezencji. Jeszcze po pierw- szej wojnie światowej w jednej ze wsi Podlasia zachodniego mieszkał szlachcic, który domagał się od sej- mu wydania ustawy zakazującej chlo- pom używania „wytwornie zdobnych pojazdów, z racji urodzenia szlachcie tylko przynależnych.“

W tych okolicznościach rozwijał się popyt na pojazdy ozdobne, wytwarza- ne przez wiejskich rzemieślników. Wzo- rów dostarczały przede wszystkim mia- sta i dwory szlacheckie. Tak np. świą- teczne sanki „wyjazdowe“ zaczęto wy- rabiać na podobieństwo sanek miej- skich. Opatrzone w wymyślnie gięte oparcia, malowane, zdobne barwnymi ornamentami, czasem rzeźbami w drze- wie, stały się całkiem niepodobne do sanek roboczych, po staremu solidnych i prostych.

Feliks Żebrowski pochodził z podla- skiej wsi Żeberki. Był najstarszy z pię- ciu synów średnio zamożnego chłopca.

Małe gospodarstwo nie mogło wyży- wić całej rodziny, wobec czego naj- starszy syn musiał się zająć rzemio- słem. Wyuczył się zawodu stelmacha, a następnie ruszył w świat. Może uprawianie tego zawodu w rodzinnej wiosce nie zdołało zapewnić bytu Fe- liksovi, a może młodego pociągała włó- częga... Przez szereg lat krążył po pół- nocno-wschodnich terenach Polski, do- skonalać się w swym zawodzie. W cza- sie tych wędrówek otarł się niewątpli- wie o tak duże ośrodki rzemiosła, jak Lublin i Warszawa, co pozostawiło śla- dy na późniejszej jego twórczości.

Powróciwszy w rodzinne strony, Fe-



← Wiejskie sanie „wyjazdowe“ ze wsi Czekany, pow. Sokółów Podlaski.

fot. L. Dzigieł

ZEGARY SŁONECZNE W POLSCE

TADEUSZ PRZYPKOWSKI

O popularności zegarów słonecznych w wieku XVI świadczy fraszka naszego największego ówczesnego poety: Jana Kochanowskiego „na Śląse”. „Stań ku słońcu, a rozdziew gębę, panie Śląsa! A już nie będziem szukać inszego kompasu; bo ten nos, co to gęby już ledwie nie minie, na zębach nam ukaże, o której godzinie.”

Historia gnomoniki w Polsce jest bardzo stara.

Gnomon to po grecku: wskazówka, gnomonika zaś to nauka wykreślania pewnych linii związanych z pozornym ruchem słońca po sklepieniu niebieskim, czyli nauka kreślenia zegarów słonecznych.

W Odrach w Borach Tucholskich mamy bardzo oryginalne i jeszcze naukowo dostatecznie nie zbadane założenia kamiennych wielkich kręgów stanowiących grobowce, które mogły być zarazem rodzajem ołtarzy, prowizorycznie datowane na pierwsze wieki naszej ery. Główna oś tych założeń pokrywa się zdumiewająco dokładnie z linią wschodu słońca w dzień sobót. Jest to niewątpliwie najstarsze na naszych ziemiach wytyczenie założenia, i to założenia w wielkiej skali, związane z pozornym ruchem słońca, a więc wytyczenie do pewnego stopnia gnomoniczne.

Polska po przyjęciu chrześcijaństwa wchodzi w krąg narodów kultury łacińskiej, gdzie od czterech prawie wieków obowiązuje ścisły przepis kościelny papieża Sabiniana z r. 606, by na każdym kościele znajdował się zegar słoneczny do jednolitego wskazywania terminów nabożeństw oraz dzwony do powszechnego ogłaszania tychże terminów. Głos dzwonu przyozdabiano niejednokrotnie dłuższą i na precyzyjniejszym instrumencie wygrywaną melodią, chociaż w niektórych krajach, jak np. we Flandrii, powstały słynne carillony, czyli zespoły dzwonów różnej wielkości, na których da się precyzyjne melodie wygrywać. Z tego papieskiego rozporządzenia tylko ta druga jego część, dotycząca dzwonów, jest stale przestrzegana. Zegary słoneczne ocalały jedynie na wielkich i posiadających odwieczną tradycję kościołach. Piękny taki przykład zespołu zegara słonecznego i codziennego wygrywanego hejnału mamy w kościele Mariackim w Krakowie. W wielu wypadkach zegary słoneczne zastąpiono rozpowszechniającymi się od XIII w. zegarami mechanicznymi wieżowymi, które zresztą początkowo nie miały wcale tarcz ze wskazówkami tylko urządzenia poruszające dzwony co godzinę.

Ale tu i ówdzie znajdujemy ślady dawnych zegarów słonecznych na kościołach, ratuszach, zamkach i innych budowlach publicznych. Takie zresztą pierwotne zegary słoneczne były bardzo prymitywne: w południową ścianę kościoła orientowanego swym prezbiterium dość dokładnie ku wschodowi, co było przepisem religijnym, wbijano prostopadłe pręt żelazny i rytymi kreskami oznaczano momenty odpowiednich terminów nabożeństw. Później nieco, zamiast tych kilku w różnych odstępach

wyrytych kresek, zaczęto dawać równomierne podziały na godziny. Podziały te jednak dzieliły tylko dzień na jednakową ilość godzin zmiennych co do długości wraz z długością dnia. Dopiero w XIV wieku pojawiają się u nas podziały doby na 24 godziny, o jednakowej w ciągu roku długości.

Najstarszym zegarem polskiego pochodzenia, zegarem kreślonym już według reguł naukowej gnomoniki, jest projekt zegara słonecznego na przyrządzie astronomicznym zwanym torquetum, którego konstrukcję opisał, wraz z szeregiem rysunków, Franko z Polski, wykładający w Paryżu w r. 1284. Zegar ten jest wyraźnie wzorowany na zegarach słonecznych arabskich, gdyż we wcześniejszym średniowieczu tak w gnomonice, jak i w całej astronomii prym w Europie trzymają Arabowie.

Daleko jednak było jeszcze wtedy od tych naukowych szczytów do zwykłych użytkowych zegarów w Polsce. Dobre ich przykłady z w. XIV mamy na szkarpie kościoła w Stróżyskach pod Nowym Korczynem. Górny z nich ma tylko kreski odpowiadające terminom nabożeństw. Dolny zawiera już próbę podziału godzinowego z południem oznaczonym wyraźnym krzyżem. Podział na równe godziny w ciągu roku związany był z zastąpieniem poziomej wskazówki równoległą do osi świata, to znaczy skierowaną górnym swym końcem ku biegunowi północnemu i płaszczyzną swą leżącą w płaszczyźnie południka. Wymagało to już pewnych wiadomości z zakresu astronomii i nie dawało się ustawić czysto empirycznie, jak to czyniono z wykreślaniem tych pierwszych zegarów „nabożeństwowych”, które w tej postaci co w Stróżyskach spotykamy we wczesnym średniowieczu w całej zachodniej Europie.

Od założenia uniwersytetu krakowskiego, który od razu zaczyna się wybijać w zakresie astronomii, datuje się u nas powszechnie epoka naukowej gnomoniki. Już w rękopisach z najstarszego okresu uniwersytetu, przed odnowieniem go przez Jadwigę i Jagiełłę, znajdujemy rozprawy gnomoniczne na najwyższym wówczas poziomie utrzymane.

Zegar słoneczny, zaopatrzony już nawet w precyzyjnie w osi świata ustawioną wskazówkę, nie wskazuje nam ściśle godziny. Ziemia bowiem nie biegnie wokół słońca z jednakową szybkością. Różnice te jednak niewiele przekraczają kwadrans, i to tylko przez bardzo krótki okres roku, przeciętnie wynoszą kilka minut lub minutę, co przy ówczesnych wymaganiach określania dokładności czasu nie sprawiało żadnej różnicy. Mikołaj Kopernik w swym wiekopomnym dziele daje nam sposób obli-

Autor artykułu — dr Tadeusz Przykowski z Jędrzejowa — jest nie tylko badaczem historii i teorii zegarów słonecznych, ale również ich projektantem i wykonawcą. Jego dziełem są m. in. wielkie zegary zdobiące plac przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie oraz Park Kultury i Wypoczynku w Katowicach.

fol. A. Kaczowski



↓ Najstarsze w Polsce zegary słoneczne na kościele w Stróżyskach pod Korczynem (XIV w.)



↓ Zegar słoneczny Jana Heweliusza w Wilanowie koło Warszawy



↓ Zegar na kościele Mariackim w Krakowie wyk. 1929 przez autora



czania naukowego poszczególnych wartości tego równania czasu. Kopernik pozostawił nam bardzo oryginalny zegar słoneczny, jaki sobie sam wykreślił w krużganku zamku w Olsztynie nad drzwiami prowadzącymi do jego mieszkania. Już w w. XV spotykamy polskie zegary słoneczne wykonane według naukowej gnomoniki. Sądząc po zachowanych rękopisach opisujących ich konstrukcję, prawdopodobnie mieliśmy takie już w XIV w. Tylko dotychczas nie znaleziono żadnego egzemplarza oryginalnego z zabytków tego rodzaju; jednak zegar Kopernika przewyższa wszystkie swą oryginalnością. Godzinę bowiem na nim oraz ilość dni oddalenia pozycji słońca od równika wskazuje nie cień, lecz światelko lusterka umieszczonego na parapecie okna krużganku, i dla dowiedzenia się godziny nie potrzebował Kopernik wychodzić z zamku, mogąc ją zobaczyć na tablicy wewnątrz krużganku.

W wieku XVI rozpowszechniają się zegary i na ratuszach. Jeden z najokazalszych przykładów zachował się nam na ratuszu w Otmuchowie z r. 1575.



Rys. S. Hennig

Mimo bowiem powszechnego już wówczas posługiwania się zegarami mechanicznymi, w jakie wyposażono wieże ratuszowe, precyzja ich chodu i wskazywania godziny była tak nieszczerbna, iż nie mogła się równać z zegarem słonecznym, choć i on pokazywał ze zmienną dokładnością do kilku czy w niektórych dniach nawet do kilkunastu minut. Zegar słoneczny był więc uzupełnieniem i sprawdzianem zegara mechanicznego, i to nawet aż po wiek XIX. Dopiero telegraf, telefon, no i wreszcie radio w w. XX pozwalają nam na szybkie i dokładne podawanie czasu, który przecież czerpiemy w gruncie rzeczy i teraz nie skądinąd jak z ruchu ciał niebieskich, tak jak zegar słoneczny czyni to bezpośrednio.

Z pięknych przykładów zegara słonecznego wieku XVII należy tutaj wymienić zegar słoneczny na pałacu w Wilanowie pod Warszawą. Przypisuje się jego obliczenie nadwornemu astronomowi króla Sobieskiego, słynnemu Janowi Heweliuszowi z Gdańska czy też jego następcy, znanemu matematykowi Adamowi Kochańskiemu. Zegar central-

Solski swego słynnego „Geometrę”, w którym mamy podział na „zabawy”. Otóż „Zabawa XIII około rysowania zegarów słonecznych” jest pierwszym popularnym i bardzo przystępnym wykładem gnomoniki w języku polskim.

Po Solskim pojawia się szereg innych podręczników traktujących ten temat bardzo przystępnie i im to zawdzięczamy znaczną ilość zegarów słonecznych XVII i XVIII wieku, jakie się głównie zachowały na kościołach, gdzie przestrzegano pradawnego rozporządzenia papieskiego.

Specjalne ożywienie gnomoniki zauważamy w Polsce w pierwszej połowie w. XIX. Powstają nowe podręczniki a przede wszystkim szereg publicznych zegarów słonecznych całkowicie świeżych, w otwartych miejscach. Wojciech Jastrzębowski w r. 1825 konstruuje przyrząd swego pomysłu do kreślenia zegarów słonecznych na dowolnej powierzchni nieregularnej. Takie zegary na głazach narzutowych spotykamy też tylko w Polsce, a największym ich okazem jest wielki głaz z zegarem wykreślonym przez samego Jastrzębowskiego



ny, którego wskazówkę trzyma postać samego Chronosa, wskazuje nam godziny oraz znaki zodiaku, przez jakie słońce „przechodzi”, boczne natomiast — to zegary, jak byśmy je teraz nazwali, „sportowe”: jeden pokazuje ile godzin już słońce świeci, drugi zaś — ile jeszcze w tym dniu będzie świecić, a więc dowiadujemy się, ile czasu mamy do zmroku, a łatwo możemy obliczyć, o której godzinie trzeba wstać, by wykorzystać jak najwięcej dnia.

W pamiętnym roku batalii wiedeńskiej wydaje w Krakowie Stanisław

w parku Łazienkowskim w Warszawie w r. 1828. W tym czasie w Rosji przyjmuje się bardzo praktyczny zwyczaj umieszczania zegarów słonecznych na miłowych słupach oznaczających odległość. Dwa takie słupy z zegarami słonecznymi, bardzo pożytecznymi dla podróżnych, ocalały na drodze między Moskwą a Leningradem. W Polsce mamy jeden taki słup (przerobiony na kapliczkę) pod Białą Podlaską, połowę zaś drogi z Lublina do Zamościa, w Łopienniku, oznaczano również w r. 1835 zegarem słonecznym, doskonale

Od prawej
→ Zegar słoneczny
Mikołaja Kopernika na zamku
w Olsztynie



→ Zegar słoneczny z r. 1575 na
ratuszu w Otmuchowie na Dolnym Śląsku.

do dziś zachowanym, może dzięki sentencji na nim umieszczonej: „Niech się sili złość i głupstwo na zniszczenie.“

W tym też czasie znany astronom Jan Baranowski, na podstawie dawnych wzorów, opracował i puścił do masowej produkcji bardzo praktyczny typ kieszonkowego zegara słonecznego w postaci słupka, na którego liniach z wysokości słońca odczytujemy dokładnie godzinę. Zegarki tego typu były w powszechnym użyciu po wsiach jeszcze w początkach bieżącego stulecia.

Przychodzi jednak nowe utrudnienie w bezpośrednim odczytywaniu z zegara słonecznego godziny obowiązującej. Samo równanie czasu przestaje wystarczać. Ziemia bowiem w swym obrocie coraz to inny punkt na równoleżniku wystawia na bezpośrednie działanie słońca. W ten sposób słońce „biegnie“ przez Polskę przeszło 36 minut, czyli że czas miejscowy, jaki obowiązywał przedtem powszechnie, różni się, np. między Świnoujściem a Sejmem, o 36^m23^s. Ze względu na kolej, telegraf itp. takie różnice w granicach państwa nie są dopuszczalne, więc podzielono świat na konkretne strefy południkowe, w których obowiązuje czas jednolity. Obowiązujący więc u nas czas środkowo-europejski przeważnie w Polsce opóźnia się w stosunku do słonecznego średniego w Warszawie o mniej więcej 24 min., w Krakowie — 20 min., w Przemyśle nawet — 31 min., za to w Zgorzelcu spieszyć się będzie wszystkiego 2 sekundy, co jest warto-

Zegary słoneczne wskazujące czas prawdziwy słoneczny znalazły swą rolę społeczną ponownie w ostatnich czasach. Są to przede wszystkim rekonstrukcje dawnych zabytkowych zegarów, niejednokrotnie bardzo zniszczonych. Tak np. w roku bieżącym mają być przeprowadzone bardzo żmudne prace nad zrekonstruowaniem obu najcenniejszych zabytkowych zegarów słonecznych: Kopernika i ewentualnie Heweliusza, których czas i nieumiejętne restauracje pozbawiły całkowicie ich pierwotnej funkcjonalnej roli. Ale nie poprzestajemy na rekonstruowaniu poszczególnych zabytków.

Mamy możliwość budować zegary słoneczne, które by wskazywały czas obo-

nak wykresy te zachodziłyby na siebie, musimy mieć dwa zegary: jeden od najkrótszego do najdłuższego dnia i drugi od najdłuższego dnia do najkrótszego, jeden więc na zimę i wiosnę, drugi na lato i jesień.

Po drugiej stronie Pałacu Kultury i Nauki powstał wielki, bo 10-metrowy, zegar słoneczny bardzo oryginalnego rodzaju: godzinę bowiem prawdziwą wskazuje cień człowieka, który musi stanąć na linii południowej w zmiennym w ciągu roku miejscu. Przy tej też linii zmontowano wielką gwiazdę stron świata, a punkty godzinne są rozmieszczone na elipsie.

Największe dwa zegary słoneczne w Europie powstają w Parku Kultury i



↑ Zegar słoneczny w ogrodzie Ewy Szemburg-Zarembiny w Zakopanem, wykonany w r. 1937 przez autora

← Zegar słoneczny umieszczony w roku 1835 na słupie oznaczającym połowę drogi z Lublina do Zamościa

Wypoczynku w Katowicach. Jeden z nich jest już montowany na dziedzińcu Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego, gdzie ustawiono 10-metrową żelazną wskazówkę pośrodku basenu, tak że cień jej będzie padał częściowo na mozaikę kamienną z podziałkami godzin na dziedzińcu o 29 m średnicy, częściowo zaś na wodę i dno basenu, przykładowo ilustrując zjawisko refrakcji, na którym polega znaczenie soczewki teleskopowej. Drugi zegar o średnicy 32 m będzie wielkim klombem kwiatowym, z liniami znaczącymi barwami kwiatów, na które będzie padał cień wzniesionego pośrodku budyneczku i oznaczał godzinę.

Nowy renesans gnomoniki, która ma w Polsce tak dawne i piękne tradycje, opiera się na innych przesłankach niż czysto użytkowe.

Zegary powszechnie dawniej używanego typu konstruuje się i całkiem na nowo w miejscach zabytkowych, dla lepszego podkreślenia tradycji i atmosfery dawności. Taką na przykład odegrać ma rolę zegar w Warszawie na Zapiecku przy rynku Starego Miasta, gdzie umieszczenie go naprzeciw zegara mechanicznego daje możliwość porównania czasu obowiązującego z prawdziwym, taką też ma rolę do odegrania na nowo (choć na starym miejscu) wykonany zegar na kościele Mariackim w Krakowie. Nie wszyscy jednak uświadamiają sobie dydaktyczne znaczenie, jakie może mieć zaobserwowanie owej własnej różnicy między czasem wskazywanym przez zegar słoneczny i przez zegar mechaniczny w Warszawie czy między cieniem zegara a hejnałem z wieży w Krakowie.

Poza bowiem niewątpliwie bardzo wybitnymi walorami dekoracyjnymi pobudza to myśl do zastanowienia się nad budową wszechświata, uzmysławia nam

OSTATNIA MANUFAKTURA

DOKOŃCZENIE

liks Żebrowski wyczuł natychmiast koniunkturę i okazał doskonały zmysł organizatorski. Po przybyciu do Rozbitego Kamienia kupił plac, gdzie zaczął wznosić budynek po budynku — manufakturę. Zajął się ona produkcją takich właśnie ozdobnych pojazdów. Przedsiębiorstwo z miejsca zaczęło prosperować tak pomyślnie, że Żebrowski mógł zająć się jego rozbudową. Już w kilka lat po założeniu obejmowało ono: 3 kuźnie mechaniczne, warsztat stelmacha, warsztat kołodzieja, warsztat lakierniczy i 5 warsztatów stolarskich. Zatrudnienie znajdowało tam, zależnie od okresu, 15 do 24 rzemieślników.

Żebrowski stworzył pewien standardowy typ pojazdu, właściwy dla swej wytwórni. Na wyglądzie zewnętrznym jego wyrobów zaważył niewątpliwie pobyt Żebrowskiego w większych ośrodkach miejskich, gdzie podpatrzył on konstrukcję i sposób zdobienia bryczek i sań. Sanki robione w „Rozbiciu“ wyglądem swym przypominały pojazdy warszawskich i lubelskich dorożkarzy.

Dzięki produkcji standardowej mógł sobie Żebrowski pozwolić na obniżenie cen swych towarów. Sława wytwórni rozbińskiej, jako wytwarzającej towar solidny, estetyczny i tani, obiegła cały powiat. Ba, z dalszych nawet okolic, nadsyłało zamówienia. Robiono już teraz na zapas poszczególne części pojazdów, które montowano następnie i malowano po otrzymaniu obstalunku. Dzięki tej metodzie produkcja postępowała znacznie szybciej, co tym bardziej przyciągało klienta. Drobny rzemieślnik nie był zdolny wywiązać się tak szybko z otrzymanego zamówienia. W przeciągu roku manufaktura wypuszczała około 80 do 100 bryczek! Zimą w najbardziej ożywionych okresach montowano w niej dwoje sanek dziennie.

W 1918 r. zmarł twórca manufaktury, sama jednak wytwórnia prosperowała nadal pomyślnie pod kierownictwem jego synów. Zmierzch manufaktury rozbińskiej rozpoczął się z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Jego przyczyną, według informacji miejscowej ludności, była — wódka. Ostatni z potomków Feliksa w linii prostej utracił cały majątek i zginął w nędzy w czasie drugiej wojny. Manufaktura upadła. Dziś nie ma po niej śladu. Tylko dwaj bracia Żebrowscy z Sadownego opowiadają przygodnym ciekawskim, jak to kiedyś obaj pracowali w przedsiębiorstwie swego stryja.

A. H.

ścią praktycznie na zegarze słonecznym nieodczytywalną, zatem można uważać, iż w Zgorzelcu i jego południku nie ma różnicy między czasem średnim słonecznym a obowiązującym. Dochodzi do tego różnice równania czasu, które kumulując się ze stałą ową wspomnianą poprawką dają w rezultacie w październiku poprawkę czasu dochodzącą do 50^m. To też stało się powodem upadku praktycznej gnomoniki i zaniku szerszego stosowania zegarów słonecznych w drugiej połowie wieku XIX i z początkiem wieku naszego.

wiązujący z dokładnością do jednej minuty, a więc z dokładnością całkowicie wystarczającą do praktycznego naszego życia, z kolejami i radiem włącznie. Taki zegar powstał ostatnio przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Godzinę wskazuje tutaj nie linia cienia wskazówki, lecz światelko otworka tarczy wskazówkowej, padające na skomplikowane linie godzinne przesunięte o wspomniane 24^m i posiadające dokładnie obliczone i wykreślone wygięcia, które są graficznym wykresem równania czasu. Ponieważ jed-

ruch ziemi, której nawet perturbacje w tym ruchu odbijają się np. w liniach równania czasu, jak na zegarze przy Pałacu Kultury i Nauki. Te względy też sprawiają, że obecnie nie powstaje w Polsce żadne większe założenie kulturalnego i pedagogicznego typu, które by nie miało naukowo obliczonego zegara słonecznego.

Tadeusz Przypkowski

RECENZJE

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ WIERCHÓW

W ostatnim numerze „Wierchów” ukazała się odezwa redakcji do czytelników, aby zabrali głos w sprawie materiałów już publikowanych w poprzednich rocznikach i wyrazili swe życzenia, uwagi i postulaty na przyszłość. Bezpośrednio po odezwie wydrukowano wypowiedź Adama Chowańskiego „Na temat Wierchów”. Z bardzo wieloma jego postulatami możemy się w pełni zgodzić, niemniej, skoro pytają, wyrażmy i my swoje zdanie — zdanie przeciętnego czytelnika.

„Wierchy” posiadają dawną tradycję, a roczniki ich są prawdziwą skarbnicą wiedzy o górach. Gromadzą one wokół siebie miłośników gór i ludzi związanych zainteresowaniami z problematyką gór i pogórza. Wielką zaletą czasopisma jest przede wszystkim ciągłość zachowana poprzez wiele lat, wreszcie regularność, z jaką wychodzi.

Aby jednak w pełni ocenić obecną wartość „Wierchów”, należy odpowiedzieć na kilka zasadniczych pytań: 1. jaki jest cel czasopisma? 2. dla jakich czytelników jest przeznaczony? 3. czego ci czytelnicy wymagają? 4. jak dalece „Wierchy” zaspokajają te potrzeby? 5. jeśli w całości nie czynią im zadość, to jak ewentualnie błędy naprawić?

1. Chowański pisze, że „Wierchy” są magazynem wiedzy o naszych górach. Zgadza się, ale niech nie będą „lamusem”, do którego wrzuca się wszelkie polapane wiadomości. „Wierchy” spełniać muszą trzy podstawowe cele — szerzyć zamięłowanie do gór i ich spraw, propagować wiedzę o górach oraz być kroniką spraw górskich. Do tego celu wspólnie służyć może dziś istniejący układ czasopisma, dzielącego się na artykuły ogólne, artykuły specjalne w dziale „Ludzie i sprawy górskie” oraz Kronikę.

2. Jeśli chodzi o czytelników „Wierchów”, nie trzeba zapominać, że nie jest to jedyne pismo turystyczne. Istnieje „Turysta”, który stara się zaspokajać potrzeby szerokiego rzeszy turystów. „Wierchy” były od

dawna, są obecnie i powinny być nadal organem ludzi „wyższego stopnia wtajemniczenia”, tzn. takich, którzy po pierwsze szczególnie związali się z górami (w przeciwieństwie do innych terenów turystycznych), po wtóre — górami tymi interesują się poważnie, nie tylko jako terenem miłego spędzenia wolnych od pracy chwil. Czytelnicy „Wierchów” posiadają różny stopień wykształcenia, łączą ich jednak pewna znajomość spraw górskich. „Wierchy” nie mogą jednak tylko obsługiwać już istniejących miłośników gór, muszą pozyskiwać nowych czytelników, zachęcać ich i kształcić.

3. Tego rodzaju czytelnicy — a więc inteligentni miłośnicy gór i kandydaci na takich — nie zadowolą się byle czym. W „Wierchach” szukają czegoś nowego, świeżej problematyki, nowych, dotąd nie omawianych na łamach czasopism wydarzeń, pewnej egzotyki. Ponieważ czytelnicy rekrutują się z różnych specjalności i różny jest ich zakres zainteresowań, powinna być i różna tematyka. A więc poza sprawami turystycznymi i humanistycznymi. Czy „Wierchy” zaspokajają te potrzeby? Sądzę, że, raczej nie. Są one przede wszystkim dość nudne. Weźmy np. ostatni rocznik (1955). W części pierwszej mamy cztery artykuły, które powinny mieć charakter ogólny, poruszać jakieś szersze problemy, zjawiska, podsumowywać doświadczenia itp. Zamiast tego czytelnik znajduje jeszcze jeden artykuł z długiej serii o Staszcu, w dodatku nie przynoszący absolutnie nic nowego — ot, trochę ogólników, a potem cytaty, cytaty i jeszcze raz cytaty (honorarium właściwie powinni zainkasować spadkobiercy Staszica. Następny artykuł to „Chłopskie karczunki”. Temat wąski, opracowany niepopularnie, a więc dla kogo przeznaczony? Chyba nie dla ludzi interesujących się historią, gdyż ci czytali o tym już przed kilku laty w „Slavia antiqua”, jak dowiadujemy się z przy-

pisu. (Tu należałoby się w ogóle zastanowić, czy jest sens marnować miejsce na przedruk artykułów, które już się gdzieś indziej ukazały). Dalej kroczy „Półtora wieku polskiej turystyki”... i znów stara historia, którą w przeróżnych wariantach znamy, choćby z samych „Wierchów”. Odświeżają nieco atmosferę liczne wspominki Krygowskiego, ładne i bezpośrednie — nareszcie coś podanego po raz pierwszy po tamtej odgrzewanej uczcie.

Część druga to „Ludzie i Sprawy Górskie”. Tu sprawa przedstawia się lepiej. Kilka artykułów ciekawych i naprawdę nowych, jak: Jostowej, Zborowskiego, Mosta, Stecia.

I wreszcie Kronika. Dobra, na ogół interesująca, tylko chaotyczna. Dlaczego np. artykuły Pieńkowskiej i Gotkiewicza znajdują się na dwu końcach Kroniki, jeśli tego samego problemu i doskonale się uzupełniają?

Poza tym w Kronice brak recenzji czy choćby omówień bibliograficznych, a przecież tyle książek o tematyce górskiej ukazuje się ostatnio:

4. Biorąc ogólnie, część I „Wierchów” powinna być najciekawsza, programowo-werbuja, powinna formować właściwy światopogląd i budzić zamiłowanie do gór. Tymczasem jest ona najsłabsza.

Artykuły powinny być nowe, a tak nie jest. O części I pisałem już wyżej, ale i dalej znajdujemy rozpaczliwie naciągany artykuł o Mickiewiczu i górach, z którego jasno wynika, że nic go z górami nie łączyło, jeszcze jeden z bardzo wielu artykułów o górnej granicy lasu i bardzo suchy artykuł o Górze św. Anny.

Czytelnik stwierdza tu brak jakiegokolwiek planu. Redakcja zdaje się umieszczać to, co jej nadeślą, bez jakiegokolwiek góry obmyślonej koncepcji. W związku z tym np. przeładowanie numeru humanistyką, przy niemal zupełnym braku artykułów przyrodniczych. Na 16 pozycji z I i II części „Wierchów” są 2 artykuły geograficzne: „Góra św. Anny” i „Altaj” oraz 1 artykuł botaniczny o górnej granicy lasu, jeśli nie liczyć dwustronicowego „Zwycięstwa idei parków narodowych”. A przecież góry to nie tylko ludzkie — to głównie ich przepyszna, egzotyczna przyroda.

Sytuacja wyglądałaby zgola inaczej, gdyby redaktorzy planowali każdy z tomów, zamawiając konkretne artykuły u konkretnych autorów specjalistów. Nie wyklucza to oczywiście przyjmowania również artykułów przypadkowych, szczególnie ciekawych czy wypełniających luki tematyczne. Wtedy dałoby się między innymi utrzymać równowagę po-

między poszczególnymi dyscyplinami i poszczególnymi kompleksami górskimi.

Istotnym brakiem „Wierchów” jest zaniechanie niemal zupełnie tematyki egzotycznej, choćby pozapolskiej. Artykułiki w rodzaju „Altaju Radzieckiego”, wyglądające na wypis z Wielkiej Geografii Powszechnej, bynajmniej nie zaspokajają naszej tęsknoty za odległymi krajami. Zaspokajają ją natomiast artykuły typu tych, jakie pisuje Jan Kazimierz Dorawski, tchnące umiłowaniami i znanstwem gór, ale tego typu rzeczy jest za mało. Czyż doprawdy nie znajdzie się w Polsce nikt, kto by umiał pisać na te tematy?

Nie tylko jednak prawie nic się nie mówi o górach dalekich, ale również o górach czeskosłowackich, choćby samych Tatrach i Sudetach po tamtej stronie.

Turystę uderza w „Wierchach” absolutny brak wiadomości o turystyce innych krajów. Ani słowa o turystyce alpejskiej, nic o wyprawach, osiągnięciach alpinizmu obcego, o czasopiśmiennictwie, stowarzyszeniach itd. Częściowo lukę tę wypełnia „Taternik”, ale pismo to po pierwsze nie wychodzi regularnie, po wtóre ma jeszcze wyższy i nieco inny krąg czytelników. Pewna ogólna problematyka wysokogórska mogłaby śmiało znaleźć się na łamach „Wierchów”, a niewątpliwie przysporzyłaby im czytelników wśród młodszego pokolenia.

Byłoby też z korzyścią dla czasopisma, gdyby „Wierchy” poszerzyły nieco krąg swych autorów. (Od lat spotykamy tu te same nazwiska osób piszących z dużą swobodą na przeróżne tematy albo — co jeszcze gorsze — stale na ten sam temat). Redakcja powinna wyszukiwać nowych ludzi, podsuwać im tematy z zakresu ich specjalności, wciągać do współpracy nie tylko uczonych i turystów, ale i literatów (np. takiego Kapeniaka) czy poetów góralskich.

I jeszcze mała, mała uwaga na marginesie. Czy to nie zastanawiające, że np. w takim dziele pierwszym „Wierchów” na 4 artykuły 3 pisane są przez członków komitetu redakcyjnego, w tym jeden przez redaktora naczelnego? Że w sumie w całym numerze na 98 pozycji podpisanych 10 pochodzi od komitetu redakcyjnego, a 17 i 7 fotografii — od samego redaktora? Czyli, innymi słowy mówiąc, około 30% pozycji to redaktor i komitet redakcyjny, pozostałe 70% — to cała Polska.

Czytelnik „Wierchów”

ZE STARYCH KRONIK

Fryzjczyk Utryk Werdum opisuje polskie drewniane narzędzia rolnicze i wehikuły

W dzienniku (pierwszej) podróży Werduma (alias Verduma) po Polsce znajdujemy pod datą 5 stycznia 1671 r. ogólną charakterystykę ludności polskiej. M. in. czytamy tam o naszych przodkach: „drzewa zaś... używają do wszystkiego... W ich pługach, wozach, sankach nie ma nic prócz drzewa, a brony robią wiążąc na krzyż okrągłe (tj. obłe, K. M.) patyki wiązane ze sobą, tam zaś, gdzie się patyki krzyżują, przytwierdzają zgrabnie drewniane zęby za pomocą kręconych wici”. Ten opis broni jest tak dokładny, że na jego podstawie możemy w sposób zupełnie pewny określić ich typ jako tzw. laskowy¹. Pierw-

sza podróż Werduma przebiegała jednak tylko przez Polskę północną, część środkową i południowo-wschodnią; bystrą swą obserwacją błędnie więc uogólnił, bo oto od współczesnego mu Jakuba Haura dowiadujemy się, iż „w tym... na Mazowszu jest w bronach differentia, że tam w nich są drewniane gwoździe, a w Województwie Krakowskim z żelaznymi włóczą, choć na Mazowszu jest dość żelaznych Kuźnic”.²

¹ Tłumaczenie polskie dziennika X. Liske, „Cudzoziemcy w Polsce”, r. 1876, str. 96.

² Zob. moja „Kultura ludowa Słowian”, cz. I, str. 182 nn.

³ „Skład albo Skarbiec znakomitych Sekretów Oekonomicy Ziemiańskiej”, wyd. 3, r. 1693 (według noty bibliotecznej Bibli. Jagiell., gdyż karty tytułowej brak), str. 29.

Poziom uprawy roli w Polsce XVII i XVIII w.

Już poznany przez nas Werdum wcale nie wyraża się źle o uprawie ziemi przez Polaków; przeciwnie, pisze, iż „w rolnictwie są dość uważni i umięją grunt bardzo dobrze zorać prostymi brudami na małe zagony; potem spinają dwie brony końcami ze sobą, które zajmują całą szerokość zagony, a każda z nich pochyla się ku brudzie; do każdej zaprzęgają po jednym koniu, który brudą kroczy, tak że po ornej ziemi ani człowieka, ani zwierzę nie stąpa i siewacz także brudą kroczy”. Nie tylko dokładność opisu, lecz i pozytywność oceny jest tu dla każdego widoczna. A owa pozytywność — to nie byle jaka pochwała, skoro daje ją człowiek światły, uniwersytecko wykształcony, ziemianin rodem i do tego pochodzący z kraju bezpośrednio sąsiadującego z Niderlandami, gdzie rolnictwo osiągnęło w XVI i XVII w. najbardziej szczytowy poziom w Europie.

Opinia Werduma znajduje potwierdzenie także w odniesieniu do wieku XVIII. A dał je Szwed, Georg Silen, który jesienią 1757 r. przemierzył

ówczesną Polskę od jej północnych krańców do południowo-wschodnich. Jego świadectwo jest tak zajmujące, że warto by je całe przytoczyć. Ze względu jednak na obszerność tego sprawozdania oraz na charakter „Ziemi” ograniczę się tylko do cytowania dwu najbardziej wymownych zdań, pomijając pełne słów uznania opisy techniki uprawy. „Miałem przyjemność — wyznaje Silen, myśląc o orce kolejnymi plugami zaprzęgniętymi w woły — widzieć w Polsce... jak szybko odbywa się orka na opisany powyżej sposób; ludzie i bydło znajdują się, by tak powiedzieć, w pełnym ruchu”.¹ A nieco niżej dodaje: „Z zachwytem patrzy się jesienią lub w zimie na polskie uprawne pola; pola te wyglądają jak długie, niezliczone ogrodowe grzędy”.²

Kazimierz Moszyński

¹ Liske, l. c.

² „Bericht von der polnischen Art den Acker zu bauen”, „Der Königlichen Schwedischen Akademie der Wissenschaften Abhandlungen aus der Naturlehre etc. auf das Jahr 1759”, t. XXI (tłum. ze szwedzkiego), Hamburg i Lipsk, r. 1762, str. 227.

³ Tamże, str. 228.

PRZEDPROŻE GDAŃSKIE

Mieczysław Wallis

Przedproże kamienicy patrycjuszowskiej — rodzaj ganku przed domem, wzniesionego o kilka stopni nad poziom chodnika i odgrozonego od niego niskim murem — było przed wojną jednym z najbardziej rzucających się w oczy rysów starych ulic gdańskich, biegnących ku Motławie. W miarę odbudowy Gdańska coraz więcej przedproży odzyskuje też swój dawny wygląd.

Przedproże służyło do zaspokojenia dwóch głębokich potrzeb ludzkich: potrzeby patrzenia, przypatrywania się, gapienia, w danym przypadku przyglądania się temu barwnemu, migotliwemu, fascynującemu widowisku, jakim jest w mieście ruch uliczny, oraz potrzeby ukazywania siebie innym ludziom, wystawiania siebie na pokaz, narzucania, chociażby na krótką chwilę, in-

nym swej powierzchowności i swej osoby. Pozwalało wyżyć się dwóm potężnym pędom ludzkim — ciekawości i próżności.

Pod pewnymi względami przedproże przypominało balkon, pod innymi — „taras“ kawiarni. Rozwińmy to szerzej.

Balkon, podobnie jak przedpokój, jest częścią mieszkania, która znajduje się na pograniczu dwóch sfer — prywatnej i publicznej. Jest on nadto tą częścią mieszkania, która wdziera się w przestrzeń otaczającą jak przyładek w morze.

Balkon stanowi dalszy ciąg i uzupełnienie mieszkania. W zależności od potrzeb i pory roku jest składem, lodownią lub ogródkiem. Latem służy nieraz za miejsce odpoczynku i wytchnienia, jako namiastka letniska dla tych, którzy nie mogą wyjechać z miasta.

Przede wszystkim jednak balkon służy, podobnie jak okna, a w jeszcze większej od nich mierze, kontaktowi wzrokowemu i często również słownemu ze światem otaczającym.

Gdy balkon znajduje się bardzo wysoko, nie widzi się z niego tych, którzy są na dole, i nie jest się przez nich widzianym. Natomiast z takiego balkonu roztacza się nieraz rozległy i wspaniały widok na miasto w dole, na szczyty i dachy domów. Gdy balkon znajduje się na średniej wysokości, osoby znajdujące się na nim są wyraźnie widoczne, a przy tym górują nad otoczeniem, zdają się unosić wysoko, jakby w jakiejś apoteozie, nad ciżbą ludzką. Na tak umieszczonych balkonach swych pałaców monarchowie ukazywali się dawniej w chwilach niezwykłych swym poddanym.

Gdy wreszcie balkon znajduje się nisko, można z niego „przyrzec się innym i pokazać siebie“, to znaczy zaspokoić owe dwie głębokie potrzeby ludzkie, o których mowa. Można je przy tym zaspokoić nie ruszając się z domu, a więc za pomocą najmniejszego wysiłku. Dlatego leniwe kobiety Południa tak lubią prześiadywać na balkonie. Tak malowali je Goya, Manet, Zuloaga.

Balkon tego rodzaju ma coś z łoża teatralnej — która również spełnia oba wspomniane zadania — i staje się niekiedy łożem teatralną w stosunku do sceny-licy, np. w czasie jakiegoś uroczystego pochodu, pogrzebu wybitnej osobistości lub defilady.

Tak jak balkon jest częścią mieszkania, wdzierającą się w przestrzeń otaczającą, podobnie „taras“ — rząd lub kilka rzędów stolików, zwykle nie odgrozonych niczym od reszty chodnika — jest częścią kawiarni, która wyległa na ulicę.

Przedproże gdańskiej kamienicy patrycjuszowskiej, nisko umieszczony balkon, taras kawiarni: wszystkie one służą do zaspokojenia potrzeby przyglądania się innym, pokazania siebie innym. Podobnie przy tym jak balkon, przedproże jest inwazją w przestrzeń otaczającą; podobnie jak taras kawiarni — wyjściem na ulicę. Ale między przedprożem a nisko umieszczonym balkonem i tarasem kawiarni zachodzą również doniosłe różnice.

Osoby przebywające na balkonie patrzą z „góry“ na ludzi znajdujących się na ulicy. Osoby na tarasie kawiarni i osoby na chodniku są na tym samym poziomie i obcuja ze sobą na równej stopie. Osoby, przebywające na przedprożu, wzniesionym kilka stopni nad poziomem ulicy, znajdowały się jakby na estradzie lub podium. Dawalo im to przewagę nad ludźmi na ulicy, ale nie oddzielało od nich w sposób tak zasadniczy i nieubłagany jak wysokość, na której znajduje się balkon. Balkon jest arystokratyczny, taras kawiarni — demokratyczny. Przedproże — twór zaможного patrycjatu gdańskiego — stanowi coś pośredniego.

Między osobami przebywającymi na balkonie, nawet na balkonie pierwszego piętra, a osobami znajdującymi się na dole nie ma zwykle wymiany bezpośredniej (chyba dzięki zastosowaniu jakichś środków pomocniczych, np. drabiny). Balkon łączy się z resztą mieszkania, ale kontakt między osobami na balkonie a



↑ Gdańsk, widok portu (wg sztychu Deischa z r. 1765). Po lewej stronie Zielona Brama



→ Ulica Długa w Gdańsku wg rys. Daniela Chodowieckiego z r. 1773

C. d. na stronie 30

osobami pod balkonem dokonuje się zwykle za pomocą spojrzeń i słów. Między publicznością na tarasie kawiarni a tłumem przechodniów nie ma żadnej różnicy poziomu i żadnej przegrody: ani fizycznej, ani społecznej. Wymiana w obu kierunkach odbywa się swobodnie. Raz po raz ktoś z gości kawiarnianych mieszka się z tłumem przechodniów lub ktoś z przechodniów zasiada przy którymś stoliku. Przedproże łączyło się za pomocą kilku stopni z ulicą. Każdy mógł w dowolnej chwili zejść z przedproża na ulicę. Ale nie każdy był upoważniony do wejścia z ulicy na przedproże. Poza członkami bliższej i dalszej rodziny i niektórymi domownikami mieli tutaj wstęp tylko zaproszeni goście.

Dotykamy tutaj pewnej różnicy zasadniczej między przedprożem a tarasem kawiarni. Publiczność zasiadająca na tarasie jest tłumem, gromadą ludzi, z których większość jest sobie wzajem obca i jedynie przypadkowo znajduje się obok siebie. Tłum ten zmienia się nieustannie, z godziny na godzinę. Natomiast grono ludzi, przebywające na przedprożu, to najpierw rodzina patrycjusza, właściciela kamienicy, zwykle złożona z przedstawicieli kilku pokoleń, następnie mieszkający wraz z nią bliżsi i dalsi krewni i powinowaci, domownicy, korzystający z praw towarzyskich, wreszcie zaproszeni goście. Stosunkowo stały trzon tego zespołu stanowiła grupa osób, związanych ze sobą węzłami pokrewieństwa i powinowactwa i ściśle zhierarchizowanych.

Niewielki rozstęp między przeciwnymi domami i brak ruchu kłowego czyniły z ulic gdańskich, biegnących ku Moltawie, „salony pod gołym niebem”, wytworzyły ów szczególny nastrój, cechujący ulice tego rodzaju. Przychodzą tu na myśl zwłaszcza zaułki weneckie lub Calle de las Sierpes w Sewilli, nastrój, na który składa się poczucie bezpieczeństwa, zacisza i zwolnione tempo życia.

Przedproże gdańskiej kamienicy patrycjuszowskiej było odgródzone od ulicy przedpiersiem — niskim murem kamiennym. Murek ten zdobiły płaskorzeźby, na których widniały postacie alegoryczne, medaliony z głowami ludzkimi, ornamenty rokokowe o kapryśnych roztańczonych liniach, inicjały, daty. Po obu stronach stopni wiodących na przed-

Igor Trybowski

prożem wznosiły się zaś rzeźbione słupki kamienne lub wielkie granitowe kule. Podobnie jak fasada gdańskiej kamienicy mieszczkańskiej — bogato rozczłonkowana i zdobiona, suto polichromowana i złocona, przedproże miało charakter reprezentacyjny. Było wyrazem dumy, jeśli nie pychy, patrycjusza gdańskiego —

Osobliwością okolic Olsztynka jest usytuowane na północny zachód od miasta muzeum etnograficzne typu skansenowskiego. Ideę tego rodzaju muzeów poddyktowała potrzeba ratowania i zachowania cennych zabytków, przede wszystkim wiejskiego budownictwa drewnianego. Wcielił ją w życie szwedzki etnograf, Artur Hazelius, organizując pod koniec XIX wieku pierwszy „skansen” w Sztokholmie. To muzeum nieznanego dotąd rodzaju stało się przykładem szerokiej i skutecznej akcji ochrony drewnianych zabytków architektonicznych. Muzea etnograficzne pod gołym niebem, przyjmujące na ogół za zasadę przewodnią typ regionalny, gęstą siecią objęły przede wszystkim Skandynawię, ale rozpowszechniły się także szeroko i w innych krajach.

Założenie organizacyjne muzeum skansenowskiego w Olsztynku jest dość specyficzne. Nie gromadzi ono bowiem najcenniejszych oryginalnych zabytków regionu, których przeniesienie tutaj było ostatecznością w obronie przed zagładą, lecz jest zespołem kilkunastu kopii przykładów budownictwa drewnianego, przeważnie z XVIII wieku z terenu Prus historycznych. W eklektycznym krajobrazie tej sztucznej wsi oglądamy zgrabny ośmioboczny kościółek kryty strzechą z trzciny. Jest to kopia zabytku po dziś dzień znajdującego się w Rychnowie (pow. ostródzki), kopia nie tylko idealna, lecz nawet idealizująca, zwłaszcza jeśli chodzi o polichromię wnętrza, przechodząca oryginał. Wśród sprzętów — kopii stoi autentyczny późnorennesansowy ołtarz z 1662 r. przeniesiony z Wielkiego Rosińska (okręg Królewca). Wolnostojąca wieża przy kościółku powtarza kształt wieży przy kościele w Mańkach (pow.

ostródzki) zbudowanej w 1685 r. przez cieślę Hansa Weicherta. Szczególniejszą uwagę przykuwa karczma wzorowana na oryginalnej z okolic Pasłęka. Jej konstrukcja szachulcowa, czyli tzw. pruski mur, w ścianach szczytowych — ciemne ciesie ułożone w geometryczny deseń i biały mur wypełniający przestrzeń między nimi — wywołuje efekt malowniczości i udanej dekoracyjności. Od frontu wznosi się wystawka z pięterkiem wspartym na słupach z wycinanymi ozdobiście zastrzałami. W muzeum znajduje się jeszcze zagroda gospodarstwa z Pempen (okolice Kłajpedy), składająca się z rozległej chałupy, stodoły — stajni i bogato dekorowanego spichlerza. Osobno stoi zgrabna

stodoła i kuźnia (prototyp z okolic Pasłęka), która przez podcięcie od frontu wsparte na czterech drewnianych kolumnach przywołuje na myśl styl klasycystyczny. Na podmokłej łące wznoszą się dwie, zbudowane na palach, klety rybackie z okolic nadmorskich (nb. najmniej udane przykłady w muzeum), a na górze, w pewnym oddaleniu od innych zabudowań, ustawiono olbrzymi wiatrak (wzór z okolic Królewca). Przy drodze z miasta, u wejścia na teren muzeum stoi chałupa (oryginał w Bartązku Wielkim w pow. morąskim). Może najkorzystniejsze pozytywne wrażenie, jakie wywołuje ta budowa pomiędzy wszystkich innych, wynika z faktu, że tylko ona w całym



proże wznosiły się zaś rzeźbione słupki kamienne lub wielkie granitowe kule. Podobnie jak fasada gdańskiej kamienicy mieszczkańskiej — bogato rozczłonkowana i zdobiona, suto polichromowana i złocona, przedproże miało charakter reprezentacyjny. Było wyrazem dumy, jeśli nie pychy, patrycjusza gdańskiego —

zamożnego kupca zbożowego lub drzewnego — z posiadanego przezeń bogactwa, dawności rodu, stanowiska społecznego i towarzyskiego w mieście.

Mieszczanin gdański XVII i XVIII wieku nie ukrywał swej zamożności. Przeciwnie, wystawiał ją na pokaz. Pragnął zaimponować innym swym bogac-

twem. Na jednym z portali gdańskich czytamy napis:

Skoro tak się podoba Bogu,
Lepiej wzbudzać zazdrość niż
pożałowanie.¹

¹ SO ES GOTT BEHAGT BESSER
BENEIDET ALS BEKLAGT: napis
na portalu kamienicy nr 36 przy ulicy
Mariackiej.



zespole muzealnym jest zagospodarowana i służy wprost życiu. Wszystkie niej dozorca skansecą pustką. Przed wojną w nich ludowe warsztaty artystyczno-rękodzielnicze.

Koncepcja opisanego pokrótce muzeum budzi pewne zastrzeżenia. Przede wszystkim dlatego, że gromadząc dość chaotycznie przykłady z szerszego obszaru geograficznego nie daje jednolitego typowego obrazu budownictwa pod względem etnograficzno-regionalnym. Poszczególne obiekty są nadto reprezentowane przez kopie czy modele (inna rzecz, że doskonale wykonane!) autentycznych budowli. Osłabia

wi zespół malowniczy, a poszczególne zgromadzone w nim obiekty muszą budzić zainteresowanie — jest organizmem martwym. Kłopoty czas nie podjęto żadnej rację bytu rzu. zapewniajązeum. Skromne subwencje wojewódzkiego konserwatora zabytków w Olsztynie zdolne są co najwyżej pokryć doraźne potrzeby konserwatorskie budynków, gdy tymczasem dziesiątki, ba, setki oryginalnych, typowych i pięknych przykładów drewnianego budownictwa naturalną rzeczą kolejną bezpowrotnie ginie z krajoobrazu wsi mazurskich i warmińskich! Tragicznie przedstawia się przede wszystkim stan i los cha-

↑ Kopia olbrzymiego wiatraku, który znajdował się niegdyś w okolicach Królewca

↑ Karczma wzorowana na oryginale z okolic Pasłęka z charakterystyczną wystawką z pięterkiem

→ Przykład budownictwa litewskiego — stodoła zagrody wiejskiej z okolic Kłajpedy

→ Kopia ośmiobocznego kościółka znajdującego się do dziś w Rychnowie w powiecie Ostródzkim

↓ Przykład budownictwa szachnicowego, belki konstrukcyjne stanowią tu elementy zdobnicze



to ich wartość historyczno-kulturalną i estetyczną; przede wszystkim zaś założenie to koliduje z postulatem muzeum skansenowskiego jako formy ochrony zabytków, których pozostawienie w rodzimym środowisku ze względu na niebezpieczeństwo zniszczenia jest niemożliwe. Muzeum etnograficzne na wolnym powietrzu pod Olsztynkiem, przejęte przez nas w spadku z dobrodziejstwem inwentarza w 1945 r. — mimo że w swej obecnej postaci stano-

łup nie zamieszkałych, trawionych przez wpływy atmosferyczne, grzyb, no i niszczone przez ludzi... Wśród lasów i nad jeziorami, w wielu pięknie położonych wsiach mazurskich, w na pół rozwalonych chałupach rozsypują się niezmiernie cenne piece kaflowe o barwnej dekoracji figuralnej... Stan rozległego budynku mieszkalnego w Ostrowie

Dokończenie na str. 32





MIASTO ZALEWO I JEGO ZABYTKI

Marian Korn...



...podziałami
Bogato...blend i pasów, wie-
za kościelna dominuje nad miastem
i okolicą.

Do imponującego rozmiarami wne-
trza prowadzi ostrołukowy portal.
Schody pomiędzy kondygnacjami
ukryto częściowo wewnątrz grubych
murów.

Ze szczytu roztacza się daleki wi-
dok na Zalewo, stare miasteczko po-
jezierza morąskiego. Ku wschodowi,
u stóp wieży korpus kościoła nakryty
stromym dachem siodłowym. Wokół
rozciągają się gruzowiska dawnego
miasta. Ku zachodowi, nieco niżej,
tętniące życiem dawne przedmieście,
założone według wzmianek już w r.
1692, z bielejącymi tu i ówdzie ostat-
nimi szachulcowymi budynkami gos-
podarczymi. Na dalszym planie sze-
roka tafla jeziora Ewingi, marszcząca
się za podmuchem wiatru i mieniąca
promieniami słońca. Na horyzoncie,
ku południowi, dostrzec można wieżę
kościoła gotyckiego z XIV wieku
w Dobrzykach; ku zachodowi wije
się wstęga szosy do niedalekiego
Przeźmarku, gdzie na półwyspie
wśród jeziora wznoszą się ruiny
zamku krzyżackiego z XIV wieku.

Historia miasta sięga końca XIII
wieku, gdy Zalewo, założone przez
komturę krzyżackiego, uzyskało loka-
cję na prawie miejskim chełmińskim
między r. 1299—1305. W XIV wieku
podjęto budowę fortyfikacji; w po-
czątku XV wieku otoczone było sil-
nym murem obronnym. Szachownica
ulic skupiała się wokół czworobocz-
nego rynku, przy którym do połowy
w. XIX istniał ratusz, wzniesiony w
r. 1374. Najważniejsze arterie komu-
nikacyjne, prowadzące ze wschodu



ku zachodowi, zbiegały się w punk-
tach zamkniętych pierwotnie brama-
mi miejskimi: Morąską od wschodu
i Pasłęcką od zachodu, zniesionymi
w XIX wieku. Mury obronne, któ-
rych bieg łatwo dziś wysledzić, za-
chowały się w kilku fragmentach;
w zachodniej części miasta przetrwa-
ła do dziś masywna ceglana czworo-
boczna baszta, w dolnej partii muru
jeszcze XIV-wieczna, górą później
nadbudowana, zwieńczona dachem
czterospadowym.

Ale najważniejszym zabytkiem Za-
lewa jest kościół pod wezwaniem
św. Jana, dawnego patrona miasta.
Najdawniejsze pieczęcie i herb mia-
sta zawierały przedstawienie sceny
męczeństwa tego świętego. Kościół,
odrestaurowany po zniszczeniach wo-

jennych, zachował się stosunkowo
dobrze i stanowi jeden z cenniejszych
zabytków budownictwa gotyckiego
tego regionu. Budowę rozpoczęto w
r. 1335, ukończono w 1351. Wyniosła
wieżę ukończono w 1407 r. Dalsza
rozbudowa kościoła przyniosła wznie-
sienie w r. 1559 kaplicy, zwanej
„kościółem polskim”, która nie za-
chowała się jednak do obecnych cza-
sów. Budynek zbudowany z cegły na
cokole kamiennym, oszkarpowany,
odznacza się staranną fakturą mu-
rów, dekorowanych miejscami wzó-
rami geometrycznymi z przepalonych
cegła — zendrówek.

Obszerne, jednonawowe wnętrze
kościoła przynosi nieco zawodu;
brak sklepień psuje wyczekiwaną
harmonię architektury. Zachowało się
jednak kilka interesujących szczegó-
łów: portal ostrołukowy z formowa-
nej cegły lub choćby bogato profilo-
wana arkada nad emporą w ścianie
północnej, obramiona subtelną rene-
sansową dekoracją malarską. Z urzą-
dzenia zachowało się kilka interesu-
jących przedmiotów; bodaj najcie-
kawsze są cztery wielkie gotyckie
lichtarze brązowe z XIV wieku, z fi-
gurkami lwów u podstaw, cenne za-
bytki przemysłu artystycznego.

Zalewa nie oszczędzały ani wojny,
ani pożary, głównie w latach 1408,
1414 i w wieku XVII. W czasie ostat-
niej wojny uległo miasto ogromnemu
zniszczeniu. Ofiarą płomieni padły
domy w rynku i ulicach: pierwotne
gotyckie, a także wzniesione na ich
murach i placach renesansowe, baro-
kowe i klasycystyczne, znane z nie-
licznej zresztą ikonografii. Zostało to,
co było najdawniejsze: pierwotne za-
łożenie urbanistyczne.

↑ Fragment gotyckiego lichtarza
z XIV wieku

← Widok szkarpy miejskiej z wieżą
kościoła parafialnego w Zalewie

← Widok Zalewa według ryciny
z drugiej połowy XVII wieku

↓ Szczyt kościoła parafialnego w Za-
lewie



SKANSEN NA MAZURACH

Wielkim (pow. ostródzki), z cha-
rakterystycznym podcieniem pod
wystawką wspartą na rzeźbio-
nych słupach — choć zamieszka-
łego — również nie napawa opty-
mizmem. Przykładów — bez liku!
Wydaje się, że czas najwyższy
rozstrzygnąć o losie budownictwa

i w ogóle sztuki ludowej tego tak
bardzo zasługującego na bliższą
uwagę regionu! Względny zycio-
we z góry przesadzają o tym, że
większości zabytków nie da się
utrzymać przy życiu. Toteż na-
leży czym prędzej podjąć syste-
matyczne badania nad sztuką lu-
dową regionu mazursko-warmin-
skiego. Są one nieodzownym eta-
pem w akcji racjonalnej ochro-
ny najcenniejszych przykładów

twórczości ludowej. Do tego celu
można by zużytkować istniejące
już muzeum skansenowskie pod
Olsztynkiem, przenosząc doń —
przy odpowiednim doborze — za-
grożone obiekty. W tym widzę
przyszłość skansenu pod Olsztyn-
kiem — zorganizowanego jako
osiedle o charakterze regional-
nym, reprezentowane przez naj-
lepsze przykłady twórczości ro-
dzimej.

Równocześnie zarysowuje się
niezmiernie ważny problem zna-
leżenia odpowiedniego użytko-
wania obiektów muzealnych. De-
cyzję w tym zakresie należałoby
jak najrychlej podjąć, aby ze-
spół w Olsztynku nabrał wreszcie
rumieńców życia i służył pozy-
tecznie kulturze i zwiedzającym.

Igor Trybowski